



CARSON
McCULLERS

ballada
o smutnej
knaipie

przełożyła
Krystyna Jurasz-Dąbska

Ilustrował
Stefan Śledziński

Samo miasteczko jest ponure; nie ma tam nic prócz przedzalni, dwuizbowych domków, w których mieszkają robotnicy, paru drzewek brzoskwiniowych, kościoła o dwóch kolorowych oknach i żalostnej głównej ulicy, ulicy długiej na jakieś sto kroków. Co sobotę okoliczni dzierżawcy zjeżdżają się tam, żeby spędzić dzień na pogawędkach i zakupach. Poza tym miasteczko jest pustawe, smutne i wydaje się miejscem bardzo dalekim, nie mającym zupełnie nic wspólnego z żadnym innym miejscem na świecie. Najbliższy przystanek kolei to Society City, a autobusy linii Greyhound i White Bus kursują po szosie do Forks Falls odległej o trzy mile. Zimy są tu krótkie i ostre, lata rozprażone do białości i bardzo gorące.

Kiedy się idzie główną ulicą w sierpniowe popołudnie, nie ma właściwie co ze sobą zrobić. Największy dom w samym środku miasta jest cały zabity deskami i pochyła się w prawo tak bardzo, że zda się, jakby lada chwila miał runąć. Dom jest stary i dziwnie spękany, co wygląda dość zagadkowo, póki sobie nie uświadomisz, że kiedyś, dawno temu, całą prawą stronę werandy pomalowano, i kawałek ściany także, ale potem malowania nie dokończono i jedna część domu została ciemniejsza i brudniejsza od drugiej. Budynek wydaje się zupełnie opuszczony. A przecież na piętrze jedno okno pozostało nie zabite deskami; czasem późnym popołudniem, kiedy upał jest nie do wytrzymania, jakaś ręka powoli rozsuwa żaluzję i jakaś twarz spogląda z góry na miasto. Twarz przypomina trochę te okropne, niewyraźne twarze, jakie zwidują się niekiedy we śnie, jest bepcłciowa i biała, o oczach szarych i zezujących tak bardzo, jakby wciąż wymieniały ze sobą nawzajem długie i poufne spojrzenia pełne

żalu. Twarz ta pozostaje przy oknie może godzinę, a potem żaluzja zasuwą się znowu i wtedy to już pewno na całej głównej ulicy nie dojrzysz żywej duszy. W takie sierpniowe popołudnie, kiedy skończy się twoja zmiana, nie ma tam absolutnie nic do roboty, chyba żeby dojechać do szosy z Forks Falls i posłuchać, jak więźniowie śpiewają.

A przecież to tu właśnie, w tym miasteczku była kiedyś knajpa. I ten stary, zabity deskami dom był taki jak żaden inny na przestrzeni wielu mil wokoło. Były tu stoliki z obrusami i papierowe serwetki, z wentylatorów w górze zwieszały się kolorowe festony, a w sobotnie wieczory gwarno się robiło i tłumnie. Lokal należał do panny Amelii Evans, ale osobą, której przede wszystkim zawdzięczał swą popularność i nastrój, był garbus zwany kuzynem Lymonem. I jeszcze jeden człowiek odegrał rolę w dziejach tej knajpy - a mianowicie były mąż panny Amelii, okropny osobnik, który powrócił do miasteczka po długim pobycie w więzieniu, doprowadził wszystko do ruiny, a potem zabrał się stąd. Knajpy od dawna już nie ma, ale ludzie ją jeszcze pamiętają.

Nie zawsze była tu knajpa. Panna Amelia odziedziczyła po ojcu dom, a w nim sklep z takimi towarami, jak pasza, nawóz, a także mąka i tabaka. Panna Amelia była bogata. Poza sklepem miała jeszcze kocioł o trzy mile za miastem wśród bagien i pędziła najlepszy samogon w tych stronach. Była to ciemna, wysoka kobieta, koścista i muskularna jak mężczyzna; włosy nosiła obcięte krótko i szesane ku tyłowi, a jej opalona twarz miała wyraz zawzięty i chmurny. Można by ją uznać nawet za całkiem przystojną, gdyby nie to, że już wtedy miała lekkiego zęza. Niejeden by się o nią starał, ale pannie Amelii nie zależało wcale na męskich uczuciach - była osobą samotną. Jej małżeństwo nie przypominało żadnego innego, jakie kiedykolwiek zawarto w tych stronach: było to dziwne i niebezpieczne małżeństwo, trwające tylko dziesięć dni, i całe miasto długo jeszcze nie mogło się otrząsnąć ze zdumienia i zgorszenia. Nie licząc tego dziwaczego

małżeństwa, panna Amelia pędziła życie samotnie. Często ubrana w kombinezon i wysokie gumowe buty całe noce przesiadywała nieruchomo w szopie wśród bagien, pilnując ognia pod kotłem.

We wszystkim, co zależne jest od pracy rąk, pannie Amelii powodziło się doskonale. Sprzedawała kruszkę i kiełbasy w pobliskim mieście. W pogodne dni jesienne męła sorgo, a syrop z jej kadzi miał barwę ciemnożółtą i delikatny aromat. W dwa tygodnie wybudowała za swoim sklepem ceglana wygódka, a na stolarce także znała się dobrze. Tylko z ludźmi pannie Amelii szło niesporo. Ludzi, oprócz tych naprawdę potulnych albo ciężko chorych, nie da się wziąć w ręce i z dnia na dzień przemienić w coś bardziej pożytecznego i wartościowego. Toteż panna Amelia uważała, że jedyny pożytek, jaki można mieć z ludzi, to zbijać na nich pieniądze. I udawało jej się to doskonale. Siedziała na hipotekach i pożyczka pod zastaw zbiorów, miała tartak i pieniądze w banku - była najbogatszą kobietą w okolicy. Byłaby już tak bogata jak jakiś kongresmen, gdyby nie jej jedyna słabostka, a mianowicie pasja do ciągnięcia ludzi po sądach. O byle co gotowa była wpłacać się w długi i niewdzięczny proces. Mawiano o niej, że wystarczy, by panna Amelia potknęła się na drodze o kamień, a już odruchowo rozgląda się, kogo by o to zaskarżyć. Poza tymi procesami panna Amelia prowadziła życie bardzo spokojne i każdy jej dzień niewiele się różnił od tego, który minął. Nie licząc owego dziesięciodniowego małżeństwa nie zdarzyło się w jej życiu nic, co by to mogło zmienić, aż do wiosny tego roku, kiedy pannie Amelii minęło lat trzydzieści.

Był spokojny kwietniowy wieczór, zbliżała się północ. Niebo miało taki kolor jak irysy, co kwitną na moczarach, księżyc stał jasny i lśniący. Zbiory zapowiadały się dobrze tej wiosny, a przędzalnia w ostatnich tygodniach pracowała i na nocną zmianę. W dole nad strumieniem kwadratowy murowany budynek fabryczny żółcił się światłami i szumiał cicho jednostajnym warkotem krosien. W taką noc przyjemnie jest słuchać, gdy z daleka poprzez ciemne pola doleci

powolna śpiewka Murzyna, który idzie do swojej dziewczyny. Albo siedzieć spokojnie i brzdąkać na gitarze, albo tylko wypoczywać i nie myśleć o niczym. Ulica tego wieczora była pusta, ale w sklepie panny Amelii paliło się światło, a na frontowej werandzie znajdowało się pięcioro ludzi. Jednym z nich był Stumpy MacPhail, majster o czerwonej gębie i małych fioletowych dłoniach. Na najwyższym stopniu siedziało dwóch wyrostków w kombinezonach, bliźniaki Rainey, obaj chudzi i powolni, o prawie białych włosach i zielonych zaspanych oczach. Poza tym na brzeżku najniższego stopnia przycupnął Henry Macy, człowiek nieśmiały i bojaźliwy, o obejściu zawsze uprzejmym i nerwowym. Sama panna Amelia stała oparta o framugę drzwi, skrzyżowawszy nogi w wielkich gumowych buciorach, i cierpliwie rozplątywała węzły na znalezionym gdzieś kawałku liny. Od dłuższej chwili panowało milczenie.

Pierwszy odezwał się jeden z bliźniaków, zapatrzonej w pustą drogę:

- Coś tam lezie.

- Pewno zabłąkane cielę - mruknął drugi.

Zbliżający się kształt był jeszcze zbyt odległy, żeby rozpoznać, co to takiego. Na brzegu drogi rysowały się od księżycowego blasku niewyraźne, powyginane cienie kwitnących drzewek. W powietrzu zapach brzoskwiniowego kwiecia i bujnej wiosennej trawy mieszał się z ciepłą, cierpką wonią pobliskiego rozlewiska.

- Nie, to czyjś smarkacz - powiedział Stumpy MacPhail.

Panna Amelia patrzyła na drogę w milczeniu. Odłożyła już linę i kościstą brązową ręką trzymała teraz szelkę swego kombinezonu. Potrząsnęła głową, ciemne pasmo opadło jej na czoło. Kiedy tak czekali, przy jednym z domów pies zaczął ujadać dziko, chrypliwie i tak długo, aż jakiś głos go nie uciszył. Dopiero kiedy postać zbliżyła się zupełnie i stanęła w zasięgu żółtego światła werandy, zobaczyli wyraźnie, co to takiego.

Był to człowiek obcy, a rzadko się zdarza, żeby o takiej porze

ktoś obcy przychodził pieszo do miasteczka. Ponadto ten obcy był garbusem. Miał niewiele więcej niż cztery stopy wzrostu i ubrany był w podniszczoną, zakurzoną kapotę sięgającą mu do kolan. Jego krzywe nóżki wydawały się zbyt cienkie, by unieść ciężar wielkiej, nieforemnej klatki piersiowej i garbu, który przytłaczał mu ramiona. Miał bardzo dużą głowę o głęboko osadzonych niebieskich oczach, wąskie, niewielkie usta. Twarz ta była zarazem łagodna i arogancka; w tej chwili bladą cerę pokrywał żółty kurz, a pod oczami rysowały się fioletowe cienie. Dźwigał starą wybrzuszoną walizkę przewiązaną sznurkiem.

- ...brywieczór - powiedział garbus prawie bez tchu...

Ani panna Amelia, ani mężczyźni na werandzie nie odpowiedzieli na to powitanie, tylko przyglądali się przybyszowi w milczeniu.

- Szukam panny Amelii Evans.

Panna Amelia odgarnęła włosy z czoła i podniosła głowę.

- A bo co?

- Bo jestem jej krewniak - odpowiedział garbus.

Bliźnięta i Stumpy MacPhail zadarli głowy ku pannie Amelii.

- To ja - powiedziała. - Co znaczy „krewniak”?

- No bo... - zaczął garbus. Wyglądał zmieszany, całkiem jakby się miał rozpłakać. Postawił walizkę na najniższym stopniu, ale nie puszczał jej z ręki. - Moją matką była Fanny Jesup, co pochodziła z Cheehaw. Wyjechała z Cheehaw jakieś trzydzieści lat temu, kiedy pierwszy raz wyszła za mąż. Pamiętam, jak opowiadała, że miała siostrę przyrodną Martę. No i dzisiaj w Cheehaw powiedzieli mi, że to była matka panny Amelii Evans.

Panna Amelia słuchała z lekko przechyloną głową. Sama jadała swój niedzielny obiad; w jej domu nigdy nie roiło się od licznej rodziny i nie uważała się za niczyją krewniaczkę. Miała kiedyś cioteczną babkę, która wynajmowała bryczki w Cheehaw, ale ta od dawna już nie żyła. Oprócz niej był jeszcze daleki kuzyn w miasteczku

oddalonym o dwadzieścia mil, ale z panną Amelią nie bardzo się zgadzali i ilekroć zdarzało im się mijać, każde spluwało na pobocze drogi. Co prawda od czasu do czasu bywało, że ktoś starał się usilnie wygrzebać jakieś, choćby najdalsze, pokrewieństwo z panną Amelią, ale nikomu się to nie udało.

Garbus ciągnął teraz długą i zawiłą opowieść, pełną nazwisk i miejscowości nie znanych zupełnie słuchaczom i na pozór nie związanych wcale z tematem.

- ...no więc Fanny i Marta Jesup były przyrodnymi siostrami. A ja jestem synem trzeciego męża Fanny. Wobec tego my byśmy byli...

- pochylił się i zaczął rozwiązywać walizkę. Jego ręce przypominały brudne jaskółcze łapki i trzęsły się mocno. Wewnątrz pełno było wszelkiego rodzaju starzyzny, starych szmat i różnych szpargałów wyglądających jak części rozebranej maszyny do szycia czy coś równie bezużytecznego. Garbus pogrzebał w tym wszystkim i wyciągnął wyblakłą fotografię.

- To jest zdjęcie mojej matki i jej przyrodniej siostry.

Panna Amelia nie odpowiadała. Poruszała szczęką to w tę, to w tamtą stronę, a twarz jej pozwalała odgadnąć, co myśli. Stumpy MacPhail wziął fotografię i przytrzymał do światła. Było to zdjęcie dwojga bladych, pokurczonych dzieciaków, może dwu- i trzyletniego. Twarze ich wyglądały jak małe białe plamki, a w ogóle to każdy mógł mieć takie zdjęcie w swoim albumie.

Stumpy MacPhail oddał fotografię bez komentarzy.

- Skąd przychodzisz? - spytał tylko.

Głos garbusa był niepewny.

- Podróżowałem.

Wciąż jeszcze panna Amelia nie odezwała się słowem. Stała tylko oparta o framugę drzwi i z góry spoglądała na garbusa. Henry Macy zamrugał nerwowo, potarł jedną dłoń o drugą, a potem spokojnie wstał z najniższego stopnia i ulotnił się. Henry Macy to pocziwina, wzruszyła go sytuacja garbusa, wołał więc nie czekać

i nie patrzeć, jak panna Amelia przegoni przybysza ze swego domu i w ogóle z miasta. Garbus jeszcze chwilę stał z otwartą walizką na najniższym stopniu schodów, pociągał nosem, usta mu drżały. Może już przeczuwał, jaki żalony los go czeka. Może uświadomił sobie, że to kiepsko znaleźć się w obcym mieście z walizką pełną starzyzny i w dodatku przyznawać się do pokrewieństwa z panną Amelią. W każdym razie siadł na schodach i rozpłakał się nagle.

Nie było to rzeczą zwyczajną, żeby jakiś nieznany garbus zjawiał się w sklepie o północy, a potem siadłszy na schodach płakał. Panna Amelia odgarnęła włosy z czoła, a mężczyźni spoglądali na siebie zmieszani. Wokoło miasteczko było ciche.

Wreszcie jeden z bliźniaków powiedział:

- Niech mnie licho, jeśli to nie wykapany Morris Finestein.

Wszyscy przytaknęli zgodnie, słowa te miały dla nich pewne specjalne znaczenie. Ale garbus płakał tylko głośniej, bo nie mógł rozumieć, o czym mówią. Otóż Morris Finestein był to człowiek, który mieszkał w tym mieście przed kilkoma laty. Był to tylko biedny mały Żydek, który płakał, kiedy mu wypominano, że zabił Chrystusa, i jadał co dzień mace i rybę z puszki. Nie wiodło mu się tutaj i przeniósł się do Society City, ale od tego czasu jak tylko mężczyzna był zniewieściały albo zaczynał płakać, od razu wołano na niego „Morris Finestein”.

- No, ale ten jest kaleka - odezwał się Stumpy MacPhail. - To go trochę tłumaczy.

Panna Amelia dwoma powolnymi, posuwistymi krokami przeszła werandę, potem po schodkach w dół i stanęła patrząc w zamyśleniu na przybysza. Długim brązowym palcem wskazującym dotknęła jego garbu. Kaleka płakał jeszcze, ale zdawał się jakby spokojniejszy. Noc była cicha, księżyc świecił dalej łagodnym, jasnym blaskiem - pochłodziło. Wtedy panna Amelia zrobiła coś niezwykłego: wyciągnęła z tylnej kieszeni spodni butelkę i przetrąwszy otwór, podała ją garbusowi, żeby się napił. Panna Amelia

nieczęsto dawała się namówić do sprzedania swego samogonu na kredyt, ale żeby ktoś dostał od niej choćby kropelkę za darmo, o tym jako żywo nie słyszano.

- Pij - powiedziała. - Rozgrzeje cię od środka.

Garbus przestał płakać, oblizał dokładnie wszystkie łązy koło ust i zrobił, jak mu kazano, Kiedy skończył, panna Amelia nabrała powoli wielki haust płynu, rozgrzała usta, popłukała i wypluła samogon. Potem także się napiła. Bliźniaki i majster mieli swoją własną butelkę, za którą zapłacili.

- Bardzo gładki trunek - powiedział Stumpy MacPhail. - Panno Amelio, pani nigdy nie fuszeruje.

Samogon, który wypili owego wieczora (całe dwie duże butelki), jest ważny. Gdyby nie on, trudno byłoby wyjaśnić to, co się potem zdarzyło. Może gdyby nie wypili, nie powstałaby tam knajpa. Bowiem samogon panny Amelii ma jedną specjalną zaletę. Jest czysty i mocny na języku, ale dopiero po przełknięciu rozjarza człowieka od wewnątrz, i to na długo. Ale to jeszcze nie wszystko. Wiadomo, że kiedy napiszesz coś na czystej kartce papieru sokiem cytryny, to nie zostanie żaden ślad. Dopiero kiedy papier potrzymać chwilę przy ogniu, litery staną się brązowe i można odczytać sens tego, co było napisane. Wyobraźcie więc sobie, że takim ogniem jest ów samogon, a tajemny napis okaże się tym, co człowiek sobie uświadamia tylko w głębi duszy - i wtedy wartość trunku panny Amelii staje się łatwa do zrozumienia. To wszystko, co przechodziło dotąd nie spostrzeżone, myśli ukryte gdzieś w zakątkach półświadomości stają się nagle jasne i zrozumiałe. Jakiś nawijacz, co myślał dotąd tylko o swoich szpulach, menażce z obiadem, o łóżku i znowu o szpulach, może przy niedzieli popróbować parę łyków tego napoju, a potem natknie się na lilię z moczarów. Będzie trzymał w dłoni jej kwiat, będzie oglądał delikatny złocisty kielich i nagle ogarnie go słodycz tak silna, że aż bolesna. To znów tkacz jakiś spojrzy nagle w górę i po raz pierwszy dostrzeże zimny, złowieszczy blask styczniowego nieba o północy, i wtedy na

myśl, jaki jest mały, poczuje, że serce zamiera mu z grozy. Tak to bywa z człowiekiem, który się napił samogonu panny Amelii. Albo będzie cierpiał, albo zmoże go radość - w każdym razie doświadczy prawdy, ogrzeje swą duszę i odczyta to, co w niej było tajemnicą.

Popijali tak, aż północ minęła, a księżyc zakryły chmury; noc była zimna i ciemna. Garbus dalej siedział na najniższym schodku, żałośnie pochylony, i czołem wspierał się o kolano. Panna Amelia stała z rękami w kieszeniach, trzymając nogę na drugim stopniu. Od dłuższego czasu już nic nie mówiła. Na twarzy jej rysował się wyraz często widywany u osób lekko zezujących, gdy się głęboko zamyśla. Wyraz taki zdaje się zarazem i bardzo mądry, i bardzo głupi. Wreszcie odezwała się:

- Nie wiem, jak się nazywasz.

- Jestem Lymon Willis - powiedział garbus.

- No to wejdz. Została w duchówce jakaś kolacja, możesz zjeść.

Tylko parę razy w ciągu całego życia panna Amelia zaprosiła kogokolwiek, by u niej coś zjadł, nie licząc wypadków, kiedy miała zamiar go wykiwać albo wydusić przy tej okazji jakieś pieniądze. Toteż zgromadzeni na werandzie poczuli od razu, że coś jest nie w porządku. Potem orzekli między sobą, że musiała pewno przez większą część popołudnia zdrowo popijać tam, wśród bagien. Dość że weszła do środka, a Stumpy MacPhail i bliźniacy zabrali się do domu. Zaryglowała drzwi frontowe i rozejrzała się po kątach, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Potem przeszła do kuchni, która była z tyłu za sklepem. Garbus podreptał za nią, wlokąc swoją walizę; pociągał nosem i wycierał go o rękaw brudnej kapoty.

- Siadaj - powiedziała panna Amelia. - Podgrzeję tylko, co tu jest.

Dobry był ten posiłek, który spożyli razem owej nocy. Panna Amelia była bogata i nie skąpiła sobie na jedzenie. Mieli więc pieczonego kurczaka (którego pierś wziął garbus na swój talerz),



buraczki, kapustę i gorące, jasnozłote pataty. Panna Amelia jadła powoli i z takim zapamiętaniem jak parobas. Siedziała z łokciami na stole, pochylona nad talerzem, szeroko rozsunawszy kolana, i ze stopami wspartymi o poprzeczkę krzesła. Jeżeli idzie o garbusa, to zmiótł kolację, całkiem jakby od miesiący już nic w ustach nie miał. Podczas gdy jadł, jedna łza spływała mu wolno po brudnym policzku, ale to była tylko pozostałość po tamtych poprzednich i nic już nie znaczyła. Lampa na stole, dobrze przykręcona, świeciła się niebiesko po brzegach knota i rzucała pogodne błyski na kuchnię dokoła. Kiedy panna Amelia skończyła kolację, wytarła dokładnie talerz kawałkiem chleba, a potem oblała resztę chleba jasnym, słodkim syropem własnej roboty. Garbus zrobił to samo, tylko że był bardziej wybredny i poprosił o czysty talerz. Po jedzeniu panna Amelia przechyliła krzesło ku tyłowi i zacisnąwszy dłoń w pięść, drugą obmacywała twarde napięte mięśnie swego prawego ramienia poprzez czyste niebieskie płótno rękawa koszuli - był to jej machinalny odruch zawsze po zakończeniu posiłku. Potem wzięła lampę ze stołu i szybkim ruchem głowy w stronę schodów dała garbusowi znak, by szedł za nią.

Nad sklepem mieściły się trzy pokoje, w których panna Amelia mieszkała od urodzenia - dwa mniejsze, sypialne, po bokach i trzeci większy, salonik, między nimi. Niewielu było takich, co widzieli te pokoje, ale wszyscy wiedzieli, że są dobrze umeblowane i niezwykle czyste. I oto teraz panna Amelia brała ze sobą na górę jakiegoś brudnego małego garbusa, przybłądę nie wiadomo skąd. Wchodziła na schody wolno, po dwa stopnie naraz, trzymając lampę wysoko w górze. Garbus postępował tuż za nią, tak że niepewne, poruszające się światło tworzyło z obu ich postaci tylko jeden wielki, powykręcany cień na ścianie. W krótki czas potem mieszkanie nad sklepem było już równie ciemne jak reszta miasteczka.

* * *

Następny ranek wstał pogodny, po wschodzie słońca, którego ciepły fiolet mieszał się z różowością. Na polach dokoła miasteczka ciągnęły się już zaorane bruzdy i od wczesnej godziny dzierżawcy wtykali w grunt młode ciemnozielone sadzonki tytoniowe. Płochliwe kawki polatywały nisko, kreśląc na ziemi szybkie niebieskie cienie. W miasteczku robotnicy wychodzili z domu z obiadem w menażkach, a w słońcu okna przedzalna oślepiły złotem. Powietrze było rześkie, drzewka brzoskwiniowe w kwieciu wyglądały jak lekkie marcowe obłoczki.

Panna Amelia zeszła na dół o świcie, jak zwykle. Umyła głowę pod pompą i po chwili już zajęła się swoją robotą. Później w ciągu ranka osiodłała muła i pojechała sprawdzić, co się dzieje z jej kawałkiem gruntu koło szosy do Forks Falls, gdzie miała posadzoną bawełnę. Około dwunastej oczywiście wszyscy już wiedzieli o garbusie, który w środku nocy pojawił się w sklepie. Ale jak dotąd nikt go nie widział. Dzień się wnet zrobił gorący, a niebo było mocno niebieskie, jak to w południe. Wciąż jeszcze nikt na oczy nie widział owego dziwnego gościa. Ten i ów przypominał sobie, że matka panny Amelii miała przyrodnią siostrę - ale zdania były podzielone, czy umarła ona młodo, czy też uciekła z sezonowym robotnikiem od tytoniu. Jeżeli chodzi o pretensje garbusa, to wszyscy byli zgodni, że musiał całą tę historię zmyślić. Toteż miasteczko, dobrze znające pannę Amelię, zdecydowało, że niechybnie po nakarmieniu kazała mu się wynosić. Ale przed wieczorem, kiedy niebo zbieleło i właśnie schodzili ze zmiany, któraś kobieta powiedziała, że w jednym oknie od tych pokoi nad sklepem mignęła jakaś wykrzywiona twarz. Sama panna Amelia nic nie mówiła. Załatwiała klientów w sklepie przez pewien czas, potem godzinę kłóciła się z jednym o uchwyt pługa, naprawiła siatkę w kurniku, wreszcie około zachodu słońca

zaryglowała drzwi i poszła do siebie na górę. Miasto zostało niepewne i rozgadane.

Następnego dnia panna Amelia nie otworzywszy sklepu przez cały dzień siedziała zamknięta na górze i z nikim się nie widziała. I właśnie tego dnia rozeszła się ta pogłoska - pogłoska tak okropna, że i w miasteczku, i w całej okolicy wszystkich ogłuszyła. Puścił ją tkacz imieniem Merlie Ryan. Jest to człeczyna, z którym nikt się nie liczy, żółty, człapiący, całkiem bez zębów. Gnębi go choroba zwana trójdniową malarią; oznacza to, że co trzy dni chwyta go gorączka. Przez dwa dni więc jest nudny i skwaszony, a trzeciego dnia ożywia się i to wtedy potrafi mu przyjść coś niezwykłego do głowy, zazwyczaj coś głupiego. Właśnie więc Merlie Ryan miał znowu tę swoją gorączkę, kiedy nagle powiedział:

- A ja wiem, co panna Amelia zrobiła. Zamordowała tego człeka, musiał coś tam mieć w tej swojej walizce.

Powiedział to spokojnie, jakby stwierdzał fakt. I nie minęła godzina, jak wieść ta obiegła miasteczko. Rozrosła się przy tym w opowieść straszną i obrzydliwą. Było w niej wszystko, od czego serce zamiera w słuchających: garbus, pogrzeb wśród bagien o północy, wleczenie panny Amelii ulicami miasteczka w drodze do więzienia, kłótnie nad spadkiem po pannie Amelii - a wszystko opowiadane szeptem i przy powtarzaniu okraszane coraz to nowym okropnym szczegółem. Rozpadało się tego dnia, ale kobiety zapomniały pościagać bieliznę ze sznurów. Paru nieszczęśników, zadłużonych u panny Amelii, włożyło już nawet niedzielne ubrania, jakby to był dzień świąteczny. Ludzie stali grupkami na głównej ulicy i rozmawiając patrzyli w stronę sklepu.

Byłoby nieprawdą twierdzić, że całe miasto brało udział w tym upojeniu niechęcią. Żyło tam kilka osób rozsądnych, które rozumowały tak: przecież panna Amelia, będąc bogata, nie posunęłaby się do tego, żeby zamordować przybłędę dla jakichś rupieci. Miasto liczyło nawet trzy osoby dobre i one nie pragnęły tej

zbrodni, choć byłoby to ogromnie interesujące i tyle urozmaicenia by przyniosło; nie sprawiała im przyjemności myśl o pannie Amelii szarpiącej kraty więzienne czy sadzanej na krześle elektrycznym w Atlancie. Tych troje dobrych ludzi sądziło pannę Amelię inaczej niż cała reszta. Kiedy ktoś jest tak zupełnie, pod każdym względem odmienny jak ona i kiedy przewin tego kogoś uzbierało się już tyle, że trudno je wymienić wszystkie razem - to widocznie tego człowieka należy sądzić inaczej. Te trzy osoby pamiętały, że panna Amelia urodziła się ciemna, o dość dziwnej twarzy, że wychowywała się bez matki, tylko z ojcem-samotnikiem, że już jako młoda dziewczyna urosła do wysokości sześciu stóp i dwóch cali, co samo w sobie nie jest rzeczą naturalną u kobiety, i że jej zwyczaje i sposób życia są zbyt cudaczne, żeby je rozważać. Przede wszystkim pamiętały o jej zagadkowym małżeństwie, bo to był największy skandal, jaki się kiedykolwiek wydarzył w miasteczku.

Toteż ci ludzie dobrzy czuli wobec niej coś zbliżonego do litości. I ilekroć wybierała się w swoich interesach, żeby na przykład komuś siłą zabrać z domu maszynę do szycia, bo nie zwrócił długu, albo kiedy puszczała się na jakieś podejrzone prawnicze kombinacje - doznawali uczucia, w którym była i irytacja, i troszkę przekornego rozbawienia, i głęboki, trudny do zdefiniowania żal. Ale dość już o tych dobrych ludziach, bo było ich tylko troje; reszta miasteczka świętowała z powodu owej urojonej zbrodni przez całe popołudnie.

Sama panna Amelia, z jakiegoś niewiadomego powodu, zdawała się nieświadoma tego wszystkiego. Większą część dnia spędziła na górze. Kiedy zeszła do sklepu, przechadzała się po nim spokojnie, z rękoma tkwiącymi głęboko w kieszeniach kombinezonu i głową schyloną tak nisko, że podbródek zakryty był kołnierzem koszuli. Nie miała na sobie żadnych śladów krwi. Często zatrzymywała się; stała tak, chmurnie zapatrzona w szpary podłogi, bawiąc się pasmem krótkich włosów, i szeptała coś do siebie. Ale większą część dnia spędziła na górze.

Zapadał zmierzch. Popołudniowy deszcz ochłodził powietrze, więc wieczór był ponury i ciemny jak w zimie. Na niebie nie było gwiazd i zaczął mżyć drobny lodowaty kapuśniaczek. Widziane z ulicy lampy rzucały słabe migotliwe światło. Zerwał się wiatr, nie od strony pobliskich moczarów, ale od zimnych czarnych lasów sosnowych leżących na północ od miasteczka.

Zegary wybiły ósmą. Wciąż jeszcze nic się nie zdarzyło. Ponury wieczór po okropnościach omawianych w ciągu dnia napędził niektórym ludziom takiego stracha, że woleli pozostać w domu przy ogniu. Inni zbili się w grupki. Jakichś ośmiu czy dziesięciu mężczyzn zebrało się na werandzie przy sklepie panny Amelii. Milczeli i tylko trwali w pogotowiu. Sami właściwie nie wiedzieli, na co czekają, ale tak to jest zawsze w okresie napięcia: kiedy coś ważnego się kroi, mężczyźni zbierają się i czekają. I po pewnym czasie przychodzi taki moment, kiedy wszyscy razem zaczną działać wspólnie, choć nie z przemyślenia ani z woli któregoś z nich, ale tak, jakby ich instynkty zespoliły się całkiem, i dlatego ta decyzja nie pochodzi od jednego, ale od całej grupy. I w takim momencie nikt z nich się nie waha. A czy sprawa zostanie rozstrzygnięta spokojnie, czy skutkiem tej wspólnej akcji będzie rabunek, gwałt, zbrodnia - to już zależy od przeznaczenia. Tak więc mężczyźni czekali w milczeniu na werandzie przed sklepem panny Amelii i choć żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, co mają zrobić, przecież każdy wiedział w głębi duszy, że muszą czekać i że to już niedługo.

Tymczasem drzwi sklepu stały otworem, wewnątrz było jasno i zwyczajnie. Na lewo była lada, na której leżał boczek, cukierki i tytoń; za ladą na półkach zapasy solonego boczku i mąki. Prawą stronę sklepu zajmowały głównie narzędzia rolnicze i tym podobne rzeczy. W głębi, trochę na lewo, przez otwarte drzwi widać było schody na górę. Całkiem na prawo jeszcze jedne drzwi prowadziły do małego pokoiku, który panna Amelia nazywała swoim kantorkiem. Te drzwi także stały otworem. Tego wieczora o ósmej godzinie widać było

przez nie za wielkim biurkiem pannę Amelię z piórem wiecznym w ręku, pogrążoną w jakichś rachunkach.

W kantorku panowała przyjemna jasność i panna Amelia zdawała się nie dostrzegać zebranych na werandzie. Otaczał ją jak zwykle wielki porządek. Kantorek był to pokój powszechnie znany z najgorszej strony. To tutaj panna Amelia przeprowadzała wszystkie swoje transakcje. Na biurku stała starannie przykryta maszyna do pisania, którą panna Amelia umiała się posługiwać, ale używała jej tylko do specjalnie ważnych dokumentów. W szufladach były dosłownie tysiące papierów, a wszystko poukładane alfabetycznie. W kantorku tym panna Amelia przyjmowała także chorych, ponieważ bardzo lubiła leczyć i często się tym trudniła. Całe dwie półki zapchane były flaszkami i różnymi innymi przyborami. Pod ścianą stała ławka, na której siadywali pacjenci. Panna Amelia umiała opaloną nad ogniem igłą zaszyć ranę tak, że nie zropiała na zielono. Na oparzenia dawała chłodny, słodki syrop. Na nie zlokalizowane dokładnie choroby miała wielką ilość różnych lekarstw, które przyrządzała sama wedle nie znanych nikomu recept. Przeczyszczały one doskonale, ale nie należało ich dawać małym dzieciom, bo dostawały okropnych konwulsji; dla dzieci miała zupełnie inną miksturę, łagodniejszą i słodką w smaku. Tak, ogólnie biorąc, uważano ją za dobrego doktora. Chwalono, że ręce, choć wielkie i kościste, ma lekkie i delikatne w dotyku. Poza tym miała dużo pomysłów i stosowała setki odmiennych sposobów leczenia. Nie wahała się przed użyciem najniebezpieczniejszych, najbardziej niezwykłych terapii i żadna choroba nie była tak okropna, by nie chciała się podjąć leczenia. Z jednym tylko wyjątkiem. Jeżeli pacjentka przyszła do niej z jakąś kobiecą dolegliwością, panna Amelia nie mogła nic zrobić. Wystarczyło, żeby ktoś wymówił nazwę takiej przypadłości, a już twarz jej zaciemniała się wstydem; stojąc tak z szyją przegiętą ku kołnierzowi koszuli, pocierała jednym grubym buciorem o drugi i wyglądała jak wielki, zawstydzony dzieciak,

któremu zabrakło języka w gębie. Ale we wszystkich innych chorobach ludziska darzyli ją zaufaniem. Nie brała od nich ani grosza i zawsze przychodziło mnóstwo pacjentów.

Tego wieczora panna Amelia długo pisała wiecznym piórem. Ale mimo to nie mogła w nieskończoność nie dostrzegać grupy, która czekała i obserwowała ją z werandy. Od czasu do czasu podnosiła oczy i spoglądała na nich spokojnie, ale nie przyszło jej do głowy zapytać, czego sterczą tu koło jej domu jak banda głupców. Twarz miała dumną i poważną jak zawsze, kiedy siedziała przy biurku. Po pewnym czasie jednak to ich zaglądnienie zaczęło ją denerwować. Wytarła policzek wielką czerwoną chustką, wstała i zamknęła drzwi kantorka.

Mężczyznom zgromadzonym na werandzie ten jej gest posłużył za sygnał. Nadszedł czas. Stali tu już dość długo, a wieczór za ich plecami był zimny i ponury. Czekali dość długo i właśnie w tym momencie poczuli, że coś powinni zrobić. Wszyscy razem, jakby poruszeni jedną wolą, weszli do sklepu. W tej chwili tych ośmiu mężczyzn wyglądało podobnie - wszyscy w granatowych kombinezonach, większość z jasnymi włosami, wszyscy bladzi i z jakimś nieruchomym, sennym wyrazem oczu.

Nikt się nie dowie, co byliby zaraz zrobili, bo w tym samym momencie jakiś hałas dał się słyszeć na szczycie schodów. Mężczyźni spojrzawszy w górę zbaranieli. Stał tam garbus, którego oni już w myślach zamordowali. A przy tym nie wyglądał wcale tak, jak im go opisywano, wcale nie jak żałosny, brudny gaduła, biedak zdany na łaskę i niełaskę świata. Po prawdzie to wyglądał tak, że żaden z obecnych nie widział dotąd nic podobnego. W sklepie panowała śmiertelna cisza.

Garbus schodził po schodach powoli, z dumą człowieka świadomego, że wszystko, co go otacza, jest jego własnością. Ogromnie się zmienił przez te ostatnie dni. Przede wszystkim był czysty nie do opisania. Nosił dalej swoją kapotkę, ale wyczyszczonej

i porządnie wyreperowaną. Pod nią świeżą koszulę w czarno-czerwoną kratkę, własność panny Amelii. Spodnie miał nie takie, jak mężczyźni zwykli nosić, ale parę obcisłych spodenek do kolan. Na chudych nóżkach miał czarne pończochy, a jego buty specjalnego, dziwnego kształtu, zasznurowane aż do kostek, były świeżo wyczyszczone i wyglansowane. Szyję owijał mu, zakrywając prawie zupełnie duże uszy, wełniany szal ciemnozielonego koloru, tak długi, że frędzle niemal dotykały podłogi.

Garbus wszedł do sklepu drobnymi, przesadnymi kroczkami i zatrzymał się w środku grupy mężczyzn, która właśnie tam wkroczyła. Zrobili mu miejsce i stali ze zwisającymi po bokach rękami i oczyma otwartymi szeroko. Sam garbus dość dziwnie jął ustalać swoje położenie: wpierw wpatrywał się wytrwale w każdego na poziomie swoich oczu, czyli mniej więcej na wysokości pasa przeciętnego mężczyzny. Potem wnikliwie i powoli lustrował każdego od pasa w dół, aż do podeszew. Kiedy tak sobie obejrzał wszystkich, przymknął na chwilę oczy i potrząsnął głową, jak gdyby uznał, że jak dotąd nic godnego uwagi nie dostrzegł. Potem, pewien swego zdania, chcąc już tylko się w nim umocnić, zadarł głowę do góry i jednym długim spojrzeniem przejechał wkoło po wianuszku pochyłających się nad nim twarzy. Po lewej stronie sklepu stał do pół opróżniony wór z nawozem sztucznym i, obejrzawszy sobie otoczenie, garbus tam się wdrapał, zasiadł wygodnie z nogą założoną na nogę i wyjął coś z kieszeni kapoty.

Ów widok na dobrą chwilę wytrącił patrzących z równowagi. Merlie Ryan, ten od trzydniowej malarii, co to puścił po południu ową pogłoskę, pierwszy się odezwał. Wlepił oczy w trzymany przez garbusa przedmiot i spytał szeptem:

- Co ty tam masz?

Każdy z obecnych wiedział doskonale, co garbus trzyma w ręce. Była to bowiem tabakierka, która należała kiedyś do ojca panny Amelii, tabakierka cała z niebieskiej emalii, na wieczku delikatnie

ozdobiona wzorkiem z prawdziwego złota. Wszyscy znali ją dobrze i nie posiadali się ze zdumienia. Zerkali ostrożnie na zamknięte drzwi, skąd dochodziło ciche pogwizdywanie panny Amelii.

- No, co to jest, Fistaszku?

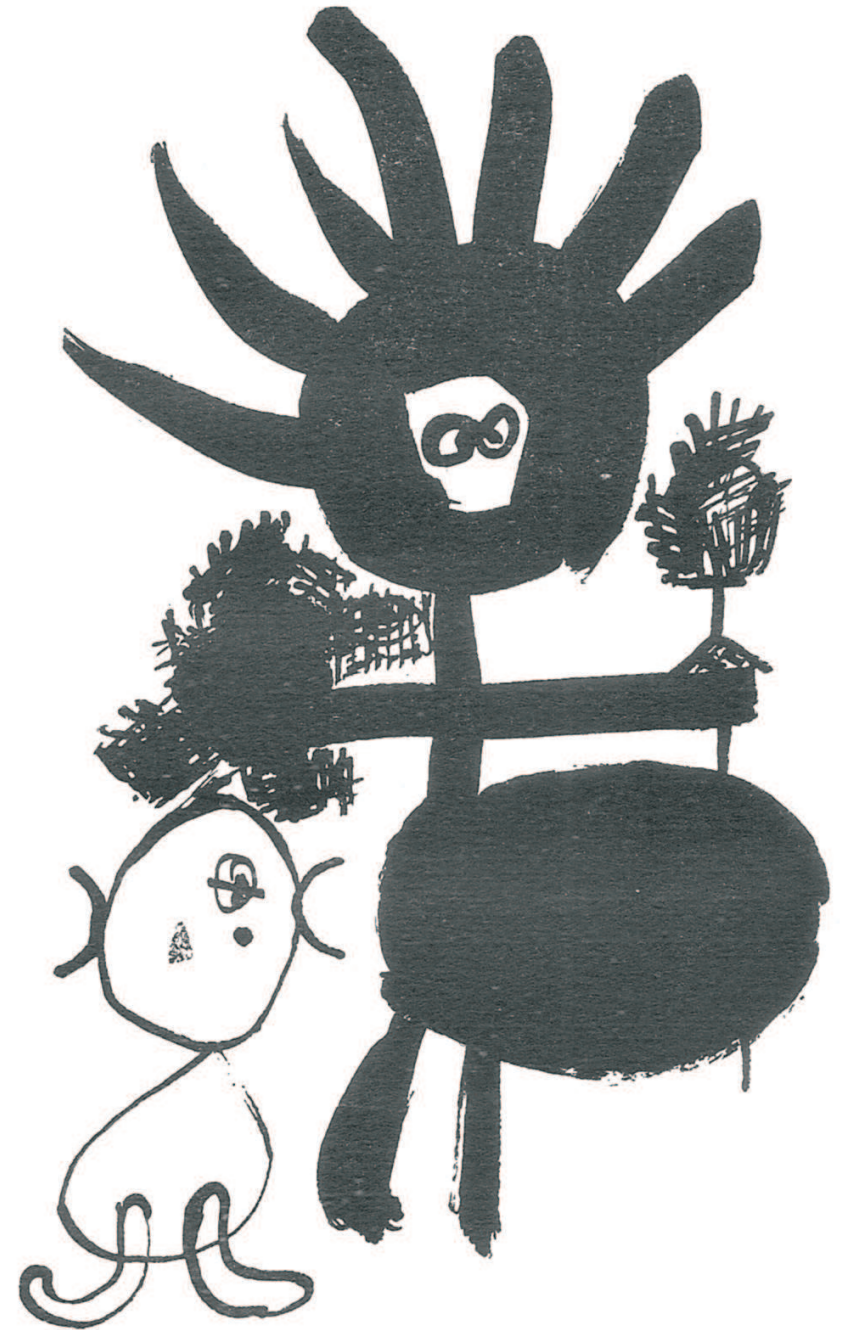
Garbus szybko zerknął ku górze i ściągnąwszy wargi odpowiedział:

- Wiadomo, to pułapka, w którą się chwyta wścibskich.

Potem pogrzebał w pudełeczku dwoma chudymi palcami i wsadził coś do ust, ale nie poczęstował nikogo. Nie była to nawet prawdziwa tabaka, tylko kakao zmieszane z cukrem. Postępował jednak z tą mieszaniną podobnie jak z tabaką, bo upychał małą prymkę pod dolną wargę, a potem co chwila zajeżdżał zgrabnie w dół językiem, żeby trochę zlizać, co było widoczne po grymasie wykrzywającym twarz.

- Zawsze mi tak gorzko, jakbym miał w ustach piołun - powiedział tytułem wyjaśnienia. - I dlatego potrzebuję czegoś słodkiego.

Mężczyźni wciąż jeszcze stali razem pośrodku sklepu, trochę zmieszani i wypłoszeni. To poczucie nie ustąpiło nawet i potem, ale wnet złagodzone zostało innym wrażeniem - przytulności całego lokalu i jego odświeżonej atmosfery. Nazwiska mężczyzn zgromadzonych w sklepie owego wieczora były następujące: Hasty Malone, Robert Calvert Hale, Merlie Ryan, pastor T. M. Willin, Rosser Cline, Rip Wellborn, Henry Ford Crimp i Horace Wells. Oprócz pastora Willina wszyscy oni, jak już wspomniano, byli pod wieloma względami do siebie podobni - wszyscy doświadczyli już takich i owakich przyjemności, wszyscy przeplakali i przecierpieli coś w życiu, z większością z nich można się było dogadać, chyba że wyprowadził ich ktoś z równowagi. Każdy z nich pracował w przędzalni i mieszkał jak inni w dwu- lub trzyizbowym domku, za który czynsz wynosił albo dziesięć, albo dwanaście dolarów miesięcznie. Wszyscy otrzymali tego popołudnia wypłatę, bo była to



sobota. Toteż tymczasem myślimy o nich łącznie jako o grupie.

Jednakże garbus już ich sobie w myślach sortował. Kiedy się rozsiadł wygodnie, zaczął od razu gawędzić ze wszystkimi, pytając jednego, czy jest żonaty, drugiego - ile ma lat, to znów, ile przeciętnie zarabia tygodniowo i tak dalej - aż stopniowo dochodził do pytań zupełnie już osobistych. Niebawem do grupy dołączyli się jeszcze inni mieszkańcy miasta, Henry Macy, paru leniów, którzy zwęszyli, że coś ciekawego się dzieje, kobiety przybyłe tu po mężów spóźniających się do domu i nawet jedno małe jasnowłose dziecko całkiem bez opieki, które na palcach zapędziło się do sklepu, porwało pudełko herbatników w kształcie zwierzątek i zaraz cichutko znikło. Tak więc w niedługim czasie w lokalu panny Amelii zrobiło się bardzo tłoczno, ale ona sama wciąż jeszcze nie otwierała drzwi od kantorka.

Są ludzie, którzy jedną cechą odróżniają się całkowicie od innych, zwyczajniejszych śmiertelników. Człowiek taki posiada specjalny instynkt, cechujący zazwyczaj tylko małe dzieci, instynkt nawiązywania natychmiast żywego kontaktu z wszystkimi dookoła. Garbus należał do takich właśnie ludzi. Nie minęło pół godziny od chwili, gdy wszedł do sklepu, a już wytworzyła się wyraźna zażyłość pomiędzy nim a każdym z obecnych. Zupełnie jakby żył w tym miasteczku od lat, był wszystkim dobrze znany i od nie wiadomo kiedy już siadywał tak na worku z nawozem, żeby gadać.

I to, i fakt, że był sobotni wieczór, mogło wywołać ów nastrój swobody i niedozwolonej wesołości, jaki zapanował w sklepie. Czuło się też napięcie, może z powodu dziwaczności tej sytuacji, a także dlatego, że panna Amelia wciąż jeszcze siedziała za zamkniętymi drzwiami swego kantorka i nie pokazała się dotąd.

Tego wieczora wyszła stamtąd o dziesiątej. I wszyscy, którzy spodziewali się jakiejś dramatycznej sceny, zawiedli się bardzo. Otworzyła drzwi i weszła swoim zwykłym powolnym i niezgrabnym krokiem. Po jednej stronie nosa miała atramentową smugę, a na szyi zawiązała sobie czerwoną chustkę. Wydawało się, że nie dostrzega nic

niezwykłego. Szare, zezowate oczy przesunęły się po sklepie, aż ku miejscu, gdzie siedział garbus, i na chwilę zatrzymały się na nim. Na całą resztę zgromadzonych w sklepie patrzyła tylko ze spokojnym zdziwieniem.

- Czy ktoś chce coś kupić? - spytała cicho.

Klientów zgłosiło się wielu, bo był to wieczór sobotni i wszyscy chcieli samogonu. Otóż panna Amelia nie dalej jak trzy dni przedtem wykopała starą beczułkę i na miejscu, przy kotle, porozlewała samogon do butelek. Tego wieczora zebrała pieniądze od klientów i przeliczyła je tuż przy lampie. Tak wyglądała zwykła procedura. Ale to, co nastąpiło później, było dalekie od normy. Zawsze dotąd musiałeś obejść dom dookoła, aż do drzwi kuchennych, i tam po ciemku panna Amelia wręczała ci twoją butelkę. Nie było w tej transakcji ani krztyny radości. Otrzymawszy swój trunek klient znikał w ciemnościach. Taki, któremu żona nie pozwalała przynosić butelki do domu, mógł, oszczędzszy budynek, znowu wrócić na werandę przed sklepem i popijać tutaj albo na ulicy. Co prawda i weranda, i chodnik przed sklepem też były własnością panny Amelii i nie należało o tym zapominać - ale obu tych miejsc nie uważała za dom. Dom zaczynał się od drzwi frontowych i obejmował całe wnętrze budynku. Tu nigdy dotąd nie wolno było odkorkowywać butelki ani pić - nikomu prócz niej samej. Tego dnia po raz pierwszy przekroczyła ten zakaz. Poszła do kuchni z garbusem depczącym jej po piętach i wróciła niosąc butelki do ciepłego, jasnego wnętrza sklepu. Co więcej, przyniosła parę szklanek i otworzyła dwa pudełka herbatników, tak że leżały gościnnie na talerzu pośrodku lady, by każdy, kto zechce, mógł sobie jednego wziąć za darmo.

Nie odzywała się do nikogo prócz garbusa, którego tylko spytała trochę zachrypłym i głuchym głosem:

- Kuzynie Lymonie, czy wypijesz swoją szklaneczkę, tak jak jest, czy mam ci ją może podgrzać w garneczku z ciepłą wodą?

- Jeśliś taka dobra, Amelio - powiedział garbus. (I odkąd to ktoś

ośmielał się zwracać do panny Amelii po imieniu, bez dodania słowa „panna” na znak szacunku? Na pewno nie odważył się na to jej nowo poślubiany mąż, ów dziesięciodniowy mąż. Po prawdzie to od śmierci jej ojca, który z jakiegoś powodu stale nazywał ją Małą, nikt nie ośmielał się zwrócić do niej tak bezceremonialnie.) - Jeśliś taka dobra, to wolę podgrzaną.

Otóż to był początek knajpy. Nic więcej, tylko to.

Pamiętajcie, że noc była ponura jak w zimie i siedzenie na dworze pod sklepem stanowiłoby przyjemność dość wątpliwą. Wewnątrz jednak było towarzystwo i przyjemne ciepło. Ktoś na nowo rozpałił w piecu w głębi, ci, którzy kupili butelki, częstowali innych. Znalazło się tam także kilka kobiet, które zamówiły ciągutki lukrecjowe albo oranżadę, a ta i owa pociągnęła nawet łyk samogonu. Garbus był dla wszystkich sensacją i bawił ich samą swoją obecnością. Przyniesiono z kantorka ławkę i parę dodatkowych krzeseł. Jedni stali oparci o ladę, inni usadowili się wygodnie na workach i beczkach. I chociaż odkorkowali butelki tutaj, wewnątrz domu, nie spowodowało to żadnych niesfornych hałasów, głupich chichotów czy niewłaściwego zachowania. Wręcz przeciwnie, towarzystwo było tak uprzejme, że nieomal graniczyło to z onieśmieleniem. Ludzie w tym miasteczku nie nawykli bowiem do zbierania się dla przyjemności. Spotykali się w przedzalni - przy pracy. Albo gdy w niedzielę bywało całodniowe zebranie religijne; i choć to było przyjemne, jednakże celem takiej imprezy jest uświadomić ludziom obraz piekła i natchnąć ich szczerym strachem przed Panem Wszchemmogącym. Natomiast nastrój knajpy jest zupełnie inny. Nawet najbogatszy, najbardziej chciwy stary łajdak będzie zachowywał się właściwie, nie ubliży nikomu w prawdziwym lokalu. A biedacy rozglądają się dookoła z wdzięcznością i nawet szczyptę soli nabierają delikatnie i elegancko. Atmosfera prawdziwej knajpy oznacza przecież towarzyskość, usatysfakcjonowanie brzucha, a także pewną wesołość i stosowne zachowanie. Nikt tego

nie powiedział zgromadzonym tamtego wieczora w sklepie panny Amelii. Ale wiedzieli to jakoś sami z siebie, chociaż oczywiście nigdy dotąd nie było w tym miasteczku żadnej knajpy. Tymczasem ta, która zapoczątkowała to wszystko, panna Amelia, stała przez większą część wieczora w drzwiach prowadzących do kuchni. Na pozór nie zmieniała się wcale. A przecież wielu zauważyło coś w jej twarzy. Przyglądała się wszystkiemu, co się działo, ale przeważnie oczy miała tęsknie wlepione w garbusa. Paradował po całym sklepie, coraz to podjadał sobie z tabakierki i był równocześnie i uszczypliwy, i przyjacielski. Od pieca w tę stronę, gdzie stała panna Amelia, padały jasne błyski i trochę rozjaśniały jej długą, ciemną twarz. Zdawała się jakby zapatrzona w głąb samej siebie. W wyrazie jej twarzy było cierpienie, zaskoczenie i niepewna radość. Usta miała nie tak mocno zaciśnięte jak zwykle i często przelykała ślinę. Twarz jej pobladła, duże puste dłonie były spotniałe. Tak więc wyglądała tego wieczora jak ktoś kochający i stęskniony.

Ów wieczór otwarcia knajpy zakończył się o północy. Jeden drugiemu powiedział przyjaźnie dobranoc. Panna Amelia zamknęła frontowe drzwi domu, ale zapomniała ich zaryglować. I wnet wszystko - główna ulica wraz ze swymi trzema sklepami, przedzalnia i domki - no, w ogóle całe miasto było ciemne i ciche. Tak więc skończyły się te trzy dni i trzy noce, kiedy to obcy przybył do miasteczka, potem świętowano - choć nie było święta - i powstała knajpa.

Teraz musi przeminąć pewien okres. Następne cztery lata bowiem niewiele się od siebie różnią. Zaszły przez ten czas wielkie zmiany, ale że dokonywały się po troszku, krok za krokiem, więc tymczasem nie wydawały się zbyt ważne. Garbus mieszkał dalej u panny Amelii, knajpa powiększała się stopniowo. Panna Amelia zaczęła sprzedawać samogon na szklanki i wniesiono do sklepu kilka stolików. Co dnia było paru gości, a w sobotnie wieczory - pełno.

Panna Amelia zaczęła wydawać kolacje: ze smażonego suma, po piętnaście centów porcja. Garbus tak długo ją namawiał, aż kupiła piękną pianolę. Nie minęło dwa lata, a sklep przekształcił się w prawdziwą knajpę otwartą codziennie od szóstej do północy.

Co wieczora garbus schodził po schodach z taką miną, jakby był ogromnie z siebie zadowolony. Pachniał trochę liśćmi rzepy, bo panna Amelia nacierała go i rano, i wieczorem naparem, żeby się wzmocnił. Chuchała na niego wprost nieprawdopodobnie, ale wydawało się, jakby nic nie mogło go wzmocnić; od jedzenia tylko garb i głowa rosły mu coraz bardziej, a cała reszta była dalej słaba i niewydarzona. Panna Amelia z wyglądu nic się nie zmieniła. Przez cały tydzień chodziła w kombinezonie i wysokich gumiakach, ale w niedzielę nakładała ciemnoczerwoną suknię, która wisiała na niej w przedziwny sposób. Jednakże jej maniery i styl życia bardzo się zmieniły. Choć dalej lubiła się procesować, nie była już tak skłonna do oszukiwania ludzi i wyduszania z nich ostatniego grosza. Ponieważ garbus był niezmiernie towarzyski, więc zaczęła nawet bywać trochę na zebraniach religijnych, na pogrzebach i tym podobnych. Kurowała ludzi równie skutecznie jak zawsze, jej samogon był jeszcze doskonalszy niż dawniej, o ile to możliwe. Sama knajpa przynosiła zyski i była jedynym lokalem rozrywkowym w promieniu wielu mil dookoła.

Tak więc na razie spojrzymy na te lata poprzez przypadkowe, coraz to inne obrazki. Oto garbus postępujący po śladach panny Amelii, gdy w czerwony zimowy poranek idą w stronę sosnowego lasu na polowanie. Oto pracują na jej posiadłości - przy czym kuzyn Lymon stoi obok i nie robi nic absolutnie, ale nie omieszka wytknąć opieszłości każdemu z najemników. W jesienne popołudnia, siedząc na schodkach kuchennych, krają trzcinę cukrową. Rozprażone letnie dni spędzają daleko na moczarach, gdzie cyprysy są tak ciemnozielone, że aż prawie czarne, a pod splątanym gąszczem drzew panuje senny półcień. Kiedy ścieżynka prowadzi przez bardziej

podmokłe miejsce albo przez rozlewisko czarnej wody - spójrz, oto panna Amelia pochyła się nisko, żeby kuzyn Lymon mógł się jej wgramolić na plecy, i brnie naprzód, a garbus, usadowiony wygodnie na jej grzbiecie, trzyma ją kurczowo za uszy albo obejmuje jej szerokie czoło.

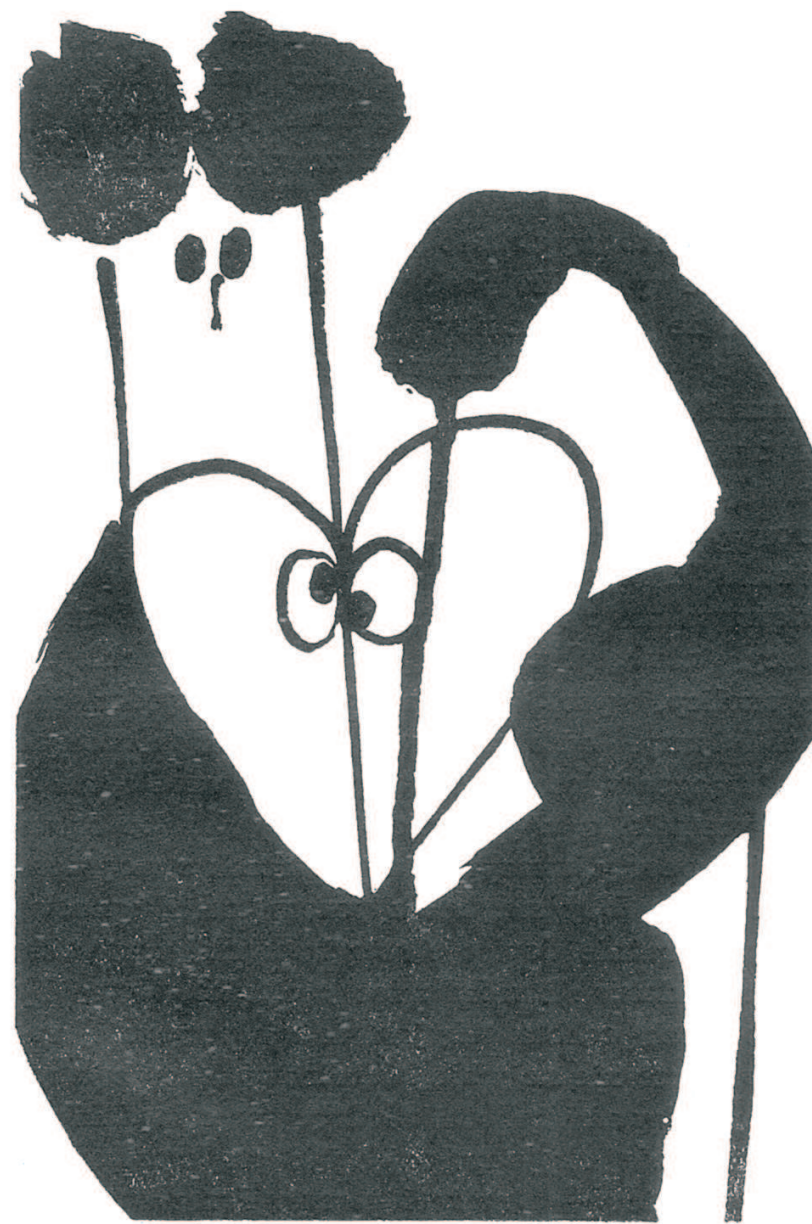
Czasem panna Amelia zapuszczała motor nowo nabytego Forda i fundowała kuzynowi Lymonowi wyprawę do kina w Cheehaw albo na jakiś daleki jarmark czy walkę kogutów: garbusa upajały wszelkie widowiska. Oczywiście wieczory spędzali zawsze w swojej knajpie, a często zdarzało im się godzinami siedzieć razem przy kominku w saloniku na górze. Garbus bowiem najgorzej czuł się wieczorem i bał się leżeć wpatrzony w ciemności. Dręczył go strach przed śmiercią. I dlatego panna Amelia nie zostawiała go samego na pastwę tych lęków. Można by nawet udowodnić, że temu głównie knajpa zawdzięczała swój rozwój; w ten sposób bowiem zapewnioną miał rozrywkę i towarzystwo, to pomagało mu przetrwać noce. Z takich więc wspomnień ułóżcie sobie obraz tych lat jako całości. A teraz na moment zatrzymajmy się.

Podobne postępowanie należy w tym miejscu trochę wyjaśnić. Nadszedł czas, by powiedzieć coś o miłości. Panna Amelia bowiem kochała kuzyna Lymona. To było jasne dla wszystkich. Mieszkali oboje w tym samym domu i zawsze widywano ich razem. Wobec tego, zdaniem pani MacPhail, starej plotkary z brodawkami na nosie, która wiecznie przedstawia swoich parę gratów z jednej strony frontowego pokoju na drugą - zdaniem jej i kilku innych jeszcze, ci dwoje żyli w grzechu. Jeżeli nawet byli spokrewnieni, to łączyło ich zaledwie dalekie kuzynostwo, a nawet i tego nie dałoby się udowodnić. To prawda, że panna Amelia była wielką niezgrabą, mierzącą przeszło sześć stóp wzrostu, a kuzyn Lymon, chuderlawy mały garbusek, sięgał jej zaledwie do pasa. Ale małżonce Stuinpy'ego MacPhaila, a także jej kumom właśnie w to graj, bo i one, i im podobne pasjonują się

zwłaszcza takimi niedobranymi i żalonymi związkami. Ale niech tam. Osoby dobre uznały, że jeśli tych dwoje znalazło w sobie nawzajem jakieś cielesne zadowolenie, to już jest tylko sprawa pomiędzy nimi a Bogiem - zaś osoby rozsądne podzielały ich opinię i dodawały, że nie warto o tym gadać. Czymże więc była właściwie ta miłość?

Przede wszystkim miłość jest to wspólne doświadczenie dwojga ludzi - ale fakt, że jest to doświadczenie wspólne, nie oznacza, że jest ono całkiem takie samo dla obu osób, których dotyczy. Zawsze jest ten, kto kocha, i ten, kto jest kochany, ale te dwie osoby pochodzą z zupełnie innych światów. Częstokroć osoba kochana roznieca tylko całą nagromadzoną miłość, która zbierała się od dawna w duszy kochającego. I w jakiś niezrozumiały sposób każdy, kto kocha, wie o tym. Czuje w głębi duszy, że jego miłość to uczucie samotne. Uświadamia sobie stopniowo tę nową, dziwną samotność i ta świadomość sprawia, że cierpi. Nie pozostaje mu więc nic innego, jak tylko starać się pomieścić tę miłość w sobie, jak zdoła najlepiej; musi stworzyć sobie cały wewnętrzny świat, świat namiętny i obcy, stanowiący całość samą w sobie. A dodajmy jeszcze, że ten kochający, o którym mowa, to wcale nie musi być ktoś młody, kto zbiera pieniądze na obrączkę ślubną - osobą kochającą może być mężczyzna, kobieta, dziecko - zaprawdę każda istota ludzka na tym świecie.

Ponadto osoby kochane też mogą być najróżniejszego rodzaju. Najdziwniejsi ludzie mogą stać się obiektem miłości. Mężczyzna może być zgrzybiałym pradziadkiem i wciąż jeszcze kochać całkiem obcą dziewczynę, którą zobaczył na ulicy Cheehaw pewnego popołudnia przed dwudziestu laty. Kaznodzieja może kochać kobietę upadłą. Osoba kochana może być zdradliwa, może mieć łojotok i najgorsze nałogi. Tak, ten, kto kocha, będzie tego świadom tak samo jak wszyscy dokoła - ale to w niczym nie odmieni jego uczucia. Najzupełniej przeciętny człowiek może stać się obiektem miłości dzikiej, przemożnej i tak pięknej jak trujące lilie z moczarów.



Człowiek szlachetny może wywołać w kimś miłość gwałtowną i ponizającą, albo znów bełkoczący szalenięc obudzi w czyjejsz duszy tkliwość prostą i piękną. A to z tej racji, że tylko od tego, kto kocha, zależy wartość i rodzaj każdej miłości.

I to jest powodem, że większość spośród nas woli raczej kochać niż być kochanym. Niemal każdy chce być tym, kto kocha. Bo po prostu tak już jest, że w głębi duszy dla wielu ludzi nie do zniesienia byłaby świadomość, że się jest przez kogoś kochanym. Kochany boi się i nienawidzi kochającego i ma po temu słuszne powody. Ten, kto kocha, bowiem stara się bezustannie obnażyć tego, kogo kocha. Kochający pożąda wszelkiego możliwego związku z tym, kogo kocha, nawet wtedy, kiedy to może sprawić mu tylko ból.

Wspomniano już poprzednio, że panna Amelia była kiedyś zamężna. I o tym dziwnym epizodzie należy w tym miejscu opowiedzieć. Pamiętajcie, że wszystko to zdarzyło się przed wielu laty i że było to, zanim pojawił się garbus, jedyne osobiste zetknięcie się panny Amelii ze zjawiskiem zwanym miłością.

Miasteczko wyglądało wtedy tak samo jak teraz, tyle tylko, że posiadało dwa sklepy, a nie trzy, i że brzoskwiniowe drzewka przy głównej ulicy były bardziej krzywe i mniejsze niż teraz. Panna Amelia miała w tym czasie dziewiętnaście lat i wiele miesięcy już minęło od śmierci jej ojca. Żył wtedy w mieście mechanik reperujący krosna, który nazywał się Marvin Macy. Był on bratem Henry'ego, chociaż nikt by tego pokrewieństwa nie odgadł, patrząc na nich obu. Marvin Macy, niewątpliwie najprzystojniejszy chłopak w okolicy, wysoki był na sześć stóp i jeden cal, muskularny, o spokojnych niebieskich oczach i falujących włosach. Dobrze mu się wiodło, zarabiał niemało, a w jego złotym zegarku, po otwarciu koperty, ukazywał się widoczek z wodospadem. Zdawałoby się, tak z pozoru, że Marvinowi Macy wyraźnie dopisuje szczęście; nie musiał się nikomu kłaniać i mógł mieć wszystko, na co by mu przysłała ochota. Ale jak się tak

poważniej zastanowić, to nie należało Marvinowi Macy zazdrościć, ponieważ był on niedobrym człowiekiem. Miał równie złą reputację jak wielu młodych w tej okolicy - a może i gorszą. Przez parę lat, jeszcze jako wyrostek, nosił przy sobie ususzone i zasolone ucho takiego jednego, którego zabił w bójce na brzytwy. W sosnowych lasach obcinał wiewiórkom ogony, ot tak, dla zabawy, a w lewej tylnej kieszeni spodni miał zawsze zakazane ziele marihuany, by kusić tych, co straciwszy odwagę wzdychali do śmierci. Lecz mimo fatalnej reputacji kochało go wiele kobiet w tamtych stronach - a w owym czasie było tam dużo młodych dziewcząt, które miały lśniące włosy i łagodne oczy, zgrabne małe tyłeczki i były miłe w obejściu. I takie to porządne dziewczęta poniżał i hańbił. Aż wreszcie, kiedy skończył lat dwadzieścia dwa, Marvin Macy upodobał sobie pannę Amelię. Ta samotna, niezgrabna, zezująca dziewczyna stała się dlań wybraną i wytęsknioną. I wcale nie z powodu pieniędzy tak jej pragnął, ale tylko z miłości.

Ta miłość odmieniła Marviną Macy. Zanim pokochał pannę Amelię, można było zadawać sobie pytanie, czy taki człowiek jak on ma w ogóle serce i duszę. Co prawda, dałoby się trochę uzasadnić ten jego zły charakter, bo Marvin Macy niełatwe miał początki na tym świecie. Urodził się jednym z siedmiorga nie chcianych dzieci, których rodzice zupełnie nie zasługiwali na to miano. Rodzice, młodzi i nieobliczalni, najbardziej lubili łowić ryby i włóczyć się po bagnach. Dzieci - a niemal co roku przybywało jedno - były im tylko kulą u nogi. Kiedy po pracy wracali z przedziałni, spoglądali na malców tak, jakby nie bardzo wiedzieli, skąd się ta gromadka tam wzięła. Które zapłakało, dostawało lanie, więc też pierwszym, czego się w życiu każde uczyło, to wyszukać sobie najciemniejszy kąt i dobrze się ukryć. Wszystkie były chude, niemal przezroczyście i wcale nie umiały mówić - nawet między sobą. W końcu rodzice zupełnie je pozostawili na łasce miasta. Zima tego roku dała się we znaki; przedziałnia stała przez prawie trzy miesiące i wszędzie panowała bieda. Ale ludzie

z miasteczka nie dopuściliby, żeby na ich oczach białe dzieci poginęły z głodu. Tak więc się ta sprawa zakończyła: Najstarszy z dzieci, ośmiolatek, poszedł do Cheehaw i słuch o nim zaginął - może pociągiem towarowym pojechał dokądś i żyje gdzieś w świecie - nie wiadomo. Czworo innych żywiono kolejno w miasteczku, posyłając od jednej kuchni do drugiej, a że były bardzo słabe, więc pomarły do Wielkanocy. Dwaj ostatni - czyli Marvin Macy i Henry Macy - zostali przygarnięci naprawdę. Żyła w miasteczku poczciwa niewiasta, Mary Hale, i ona właśnie wzięła do siebie obu chłopców, i pokochała jak własnych. Wychowywała ich i traktowała dobrze.

Ale serce małego dziecka to organ delikatny. Okrutne wprowadzenie na ten świat może je poskręcać w dziwne kształty. Serce skrzywdzonego dziecka może skurczyć się tak, że już na zawsze pozostanie twarde, pofałdowane jak pestka brzoskwini. Albo też może zropieć i nabrzmieć, aż samo noszenie go w piersi stanie się udręką, bo zbyt jest obolałe i zbyt łatwo najzwyczajszym głupstwem można je zranić. Tak właśnie stało się z Henrym Macy, który jest zupełnym przeciwieństwem swego brata; to najpocziwszy, najłagodniejszy człowiek w całym mieście. Pożycza wszystko, co zarobi, tym, którym się nie poszczęściło, a dawniej zwykł był w sobotnie wieczory opiekować się dziećmi, gdy ich rodzice siedzieli w knajpie. Sam jest nieśmiały i nawet wygląda na takiego, co ma serce nabrzmiące bólem. Marvin Macy jednakże wyrósł pewny siebie, odważny i okrutny. Serce stwardniało mu jak rogi diabelskie i aż do czasu, gdy pokochał pannę Amelię, przynosił swemu bratu i dobrej kobiecie, która go wychowała, tylko wstyd i zmartwienie.

Ale miłość przemieniła Marvina Macy. Przez dwa lata kochał pannę Amelię, ale nic o tym nie mówił. Stawał koło drzwi jej domu z czapką w rękę, z łagodnym, rozteśknionym spojrzeniem niebieskich oczu. Zmienił się kompletnie. Stał się dobry dla brata i przybranej matki, nie wydawał tego, co zarabiał, i nauczył się oszczędzać. Co więcej, skierował się ku Bogu. Zamiast jak dawniej przez całą

niedzielę wylegiwać się na frontowej werandzie ze śpiewem i przygrywaniem na gitarze, chodził na nabożeństwa, brał udział we wszystkich zebraniach parafialnych. Nabył dobrych manier, nauczył się wstawać i ustępować krzesła damie, przestał kłąć, nie wszczynał bójek i nie używał imienia Bożego nadaremno. I tak przez dwa lata przemieniał się i poprawiał swój charakter pod każdym względem. A pod koniec drugiego roku poszedł pewnego wieczora do panny Amelii, niosąc bukiet dzikich kwiatów zerwanych na bagnach, dużą torbę kruszki i srebrny pierścionek; Marvin Macy oświadczył się tego dnia.

A panna Amelia wyszła za niego. Później wszyscy zastanawiali się, dlaczego to zrobiła. Jedni mówili, że złąkomiła się na prezenty ślubne. Inni przypuszczali, że doprowadziło do tego dokuczanie ciotecznej babki, która mieszkała w Cheehaw, starej sekutnicy. Dość że przemaszzerowała przez cały kościół w ślubnej sukni po nieboszczce matce; suknia była z żółtawego jedwabiu i za krótka o dobre dwanaście cali. Działo się to w zimowe słoneczne popołudnie, a przez czerwone szyby padały promienie słoneczne i oblewały niezwykłym blaskiem parę przed ołtarzem. Podczas czytania formuły ślubnej panna Amelia bez przerwy powtarzała dziwny jakiś ruch: wewnętrzną stroną prawej dłoni pocierała raz po raz bok jedwabnej sukni. Sięgała odruchowo do kieszeni kombinezonu, a bezskuteczność tych usiłowań chmurzyła jej twarz zniecierpliwieniem i nudą. Kiedy wreszcie słowa formuły zostały wypowiedziane, a modlitwa za nowożeńców odmówiona, panna Amelia pośpiesznie wyszła z kościoła, nie wsparta na ramieniu męża, ale co najmniej o dwa kroki przed nim.

Kościół jest całkiem blisko sklepu, więc państwo młodzi szli do domu piechotą. Podobno w czasie tej drogi panna Amelia zaczęła mówić o jakiejś transakcji z farmerem, który miał jej dostarczyć dużą ilość drzewa opałowego. To pewne, że traktowała swego męża zupełnie tak jak każdego z klientów wstępujących do sklepu po trochę

samogonu. Ale wciąż jeszcze wszystko wydawało się mniej więcej w porządku. Całe miasto było zadowolone, bo ludzie widzieli, co ta miłość zrobiła z Marvina Macy, i mieli nadzieję, że pod jej wpływem odmieni się także i panna młoda. W każdym razie liczyli, że małżeństwo złagodzi chyba usposobienie panny Amelii, doda jej trochę kobiecej krągłości, a w ogóle że przestanie być taka nieobliczalna.

Pomylili się jednak. Chłopcy podglądający nowożeńców przez okno opowiadali, że tak oto upłynął ten wieczór: Państwo młodzi zjedli wspaniałą kolację przygotowaną przez Jeffa, starego Murzyna, który kucharzował pannie Amelii. Panna młoda dobierała wszystkiego, pan młody tylko udawał, że je. Potem ona zajęła się swymi codziennymi sprawami - przeczytała gazetę, skończyła spisywać inwentarz sklepu i tym podobne. Pan młody podpierał framugę drzwi z bezradną, nieprzytomną i rozanieloną twarzą - nie zauważany przez nią. O jedenastej panna młoda wzięła lampę i poszła na górę. Pan młody ruszył w ślad za nią. Jak dotąd wszystko wyglądało mniej więcej w porządku, ale to, co nastąpiło potem, było gorszące.

Nie minęło pół godziny, a panna Amelia z łoskotem zeszła na dół w spodniach i kurtce khaki. Twarz jej pociemniała tak, że zdawała się całkiem czarna. Zatrzasnęła drzwi kuchni i jeszcze kopnęła je nogą. Potem jakoś się opanowała. Przegarnęła ogień, usiadła i oparła nogi na blacie kuchni. Poczytała Kalendarz Rolniczy, napiła się kawy, popykała z ojcowskiej fajki. Twarz miała zaciętą, ponurą, już znowu zbierała do zwykłego koloru. Parę razy wynotowywała sobie jakieś wiadomości z kalendarza na kawałku papieru. Przed świtem poszła do kantorka i otworzyła maszynę do pisania niedawno kupioną, na której właśnie uczyła się pisać. W ten sposób spędziła całą swoją noc poślubną. O świcie wyszła na dwór jakby nigdy nic i zabrała się do wykańczania klatki na króliki, którą zaczęła przed tygodniem i chciała komuś sprzedać.

Pan młody jest w przykrym położeniu, kiedy swojej ukochanej i świeżo poślubionej nie może nakłonić, by poszła z nim do łóżka, a całe miasto o tym wie. Marvin Macy zszedł tego ranka na dół, wciąż jeszcze w ślubnym stroju i ze zboląłą twarzą. Bóg jeden wie, jak spędził tę noc. Osowiały kręcił się koło domu przyglądając się pannie Amelii, ale nie zbliżał się do niej. Aż koło południa wpadło mu coś do głowy i wyruszył w kierunku Society City. Nakupił tam prezentów: pierścionek z opalem, różową emaliowaną broszkę, jakie wtedy były modne, srebrną bransoletkę z dwoma serduszkami i pudło czekoladek za dwa i pół dolara. Panna Amelia obejrzała te piękne prezenty i otworzyła pudło z czekoladkami, bo zdążyła zgłodnieć. Nad resztą prezentów zastanawiała się chwilę, żeby dobrze ocenić ich wartość, i zaraz wyłożyła je pośrodku lady na sprzedaż. Ta noc przeszła prawie zupełnie tak samo jak poprzednia, z jedną tylko różnicą, że panna Amelia, zniósłszy swój puchowy materac na dół, wymościła sobie legowisko koło pieca kuchennego i spała całkiem dobrze.

Tak wyglądała sytuacja przez trzy dni. Panna Amelia zajmowała się swoimi sprawami jak zwykle i z dużym zainteresowaniem przyjęła wiadomość, że mają budować most o jakieś dziesięć mil od miasta. Marvin Macy dalej snuł się za nią wokół domu i z jego twarzy widać było wyraźnie, jak cierpi. Wreszcie czwartego dnia zrobił coś niezwykle głupiego: udał się do Cheehaw i wrócił z prawnikiem. Potem w kantorku panny Amelii przepisał na nią cały swój doczesny majątek, a mianowicie dziesięć akrów lasu, które kupił za wszystkie swoje oszczędności. Przystudiowała dokument uważnie, żeby się upewnić, czy nie ma tu jakiegoś kruczka, i spokojnie schowała do szuflady biurka. Tego popołudnia Marvin Macy wziął dużą butelkę samogonu i poszedł z nią sam na moczary, kiedy słońce było jeszcze wysoko na niebie. Pod wieczór wrócił pijany, podszedł do panny Amelii z wilgotnymi, szeroko otwartymi oczyma i położył jej rękę na ramieniu. Próbował jej coś powiedzieć, ale zanim zdążył otworzyć usta, ona zamachnęła się i uderzyła go w twarz tak mocno,

że poleciał aż na ścianę i wypluł jednego zęba.

Resztę całej sprawy można już opowiedzieć w skrócie. Po tym pierwszym ciosie panna Amelia waliła męża, ilekroć zbliżył się do niej na odległość ramienia i ilekroć był pijany. W końcu przegoniła go zupełnie ze swego domu, tak że musiał cierpieć publicznie. Za dnia krążył wokół jej posiadłości i czasem z ponurą, obłądną twarzą siadał sobie w pobliżu ze strzelbą i zabierał się do jej czyszczenia, a jednocześnie wodził wzrokiem za panną Amelią. Czy była tym wystraszona, tego nie poznałbyś po niej, ale twarz miała chmurniejszą niż zazwyczaj i często spluwała na ziemię. Ostatnią jego desperacką próbą było wdrapanie się przez okno do sklepu pewnej nocy. Siedział tam w ciemności właściwie bez celu aż do rana, kiedy panna Amelia zeszła z góry. Wtedy to natychmiast pośpieszyła do Cheehaw w przekonaniu, że uda jej się osadzić go w więzieniu za włamanie. Tegoż dnia Marvin Macy znikł z miasta i nikt nie widział, jak odjeżdżał, ani nie wiedział dokąd. Na wyjeźdźnym wsunął pod drzwi panny Amelii dziwaczny długi list, częściowo napisany ołówkiem, a częściowo atramentem. Był to szalony list miłosny, ale groził w nim także i poprzysiągł, że jeszcze kiedyś w życiu zapłaci mu ona za wszystko. Jego małżeństwo trwało dziesięć dni. A miasteczko odczuło swoisty rodzaj satysfakcji, jak zwykle, kiedy ludzie widzą, że kogoś w specjalnie okrutny i skandaliczny sposób skrzywdzono.

Pannie Amelii dostało się wszystko, co kiedykolwiek należało do Marvinu Macy - jego las, jego pozłacany zegarek i wszystkie rzeczy. Ale niewiele sobie z nich robiła i te same wiosny pocięła jego najlepszą koszulę, żeby okryć przed zimnem sadzonki tytoniu. Tak więc osiągnął jedynie to, że przez niego stała się jeszcze bogatsza, no i zetknęła się z miłością. Ale ona, dziwina rzecz, ilekroć mówiła o nim, to zawsze z wielką goryczą i złością. Nigdy nie wyrzekła jego imienia, tylko zawsze określała go z pogardą: „ten naprawiacz krosien, za którego się wydałam”. A później, kiedy przerażające wieści o Marvinie Macy doszły do miasteczka, panna Amelia

ucieszyła się bardzo. Bo oto jego prawdziwy charakter w końcu wyszedł na jaw, teraz, kiedy wyzwolił się z pęt miłości. Stał się przestępcą, którego imię i fotografia figurowały we wszystkich gazetach całego stanu. Obrabował trzy stacje benzynowe i z bronią w ręku napadł na supermarket A&P w Society City. Podejrzewano go o zamordowanie Jednookiego Sama, znanego bandyty. Wszystkie te przestępstwa łączono z imieniem Marvinu Macy, toteż jego zła fama rozeszła się szeroko. Aż wreszcie prawo go ujęło, pijanego na podłodze w campingowym domku, z gitarą przy boku i pięćdziesięcioma siedmioma dolarami w prawym bucie. Postawiono go przed sądem, skazano i zamknięto w więzieniu koło Atlanty. Panna Amelia była prawdziwie ukontentowana.

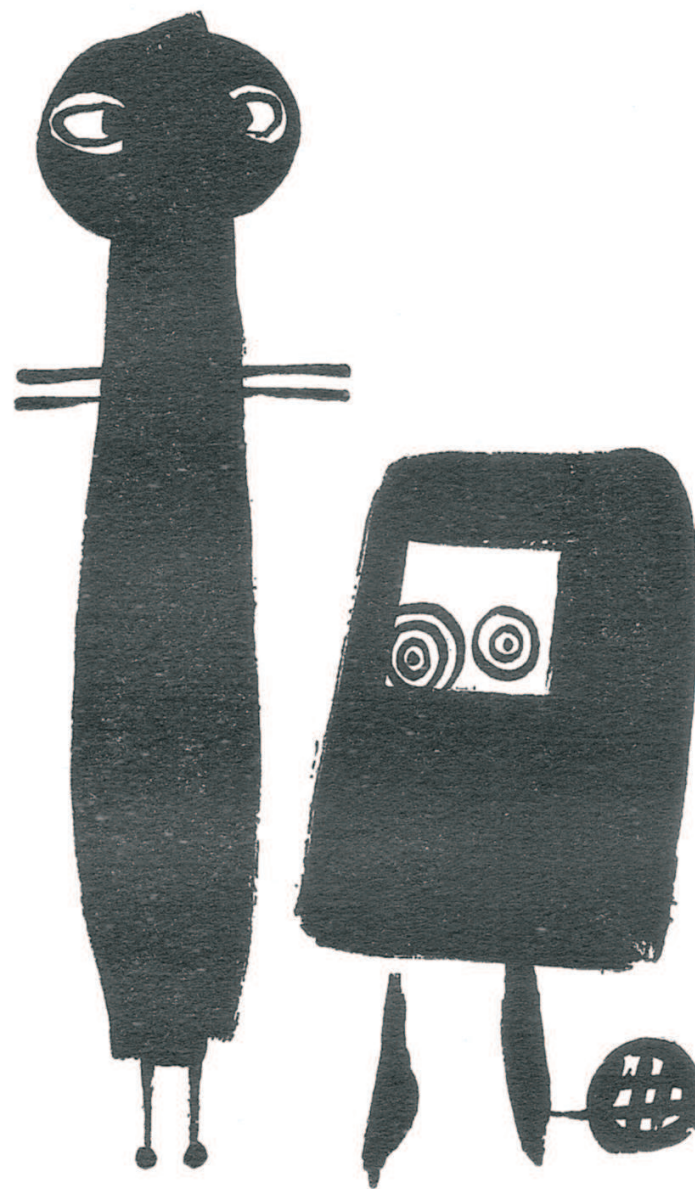
No cóż, wszystko to zdarzyło się dawno temu i tak wygląda historia małżeństwa panny Amelii. Miasteczko przez długi czas naśmiewało się z tej komicznej sprawy. Ale chociaż wszystko, co ludzie wiedzą o owej miłości, było smutne i dziwaczne, trzeba jednak pamiętać, że prawdziwa historia tej miłości to tylko to, co się działo w duszy zakochanego. Któż więc prócz Boga może oceniać tę czy jakąkolwiek miłość? Owego pierwszego wieczora w knajpie nie jeden nagle przypomniał sobie zrozpaczonego młodożeńca zamkniętego w dalekim, ponurym więzieniu. A i potem, w następnych latach, miasteczko niezupełnie zapomniało o Marvinie Macy. Imienia jego nie wymawiano nigdy w obecności panny Amelii czy garbusa. Ale pamięć o jego namiętności i o jego zbrodniach, myśl o nim tkwiącym w celi więziennej niczym w pułapce, zdawała się jakby niepokojącą nutą w pogodnej miłości panny Amelii i wesołym gwarze knajpy. Dlatego też nie zapominajcie o Marvinie Macy, ma on bowiem do odegrania straszliwą rolę w dalszej części tej historii.

W czasie czterech lat, kiedy sklep przekształcał się w knajpę, górne pokoje nie zmieniły wyglądu. Ta część domu pozostała zupełnie taka sama jak w ciągu całego życia panny Amelii, jak

w czasach jej ojca, a zapewne także i przed nim, w czasach jego ojca. Owe trzy pokoje, jak wiadomo, były nieskazitelnie czyste. Nawet najmniejszy drobiazg miał swoje miejsce i wszystko było każdego ranka czyszczone i odkurzane przez Jeffa, służącego panny Amelii. Frontowy pokój należał do kuzyna Lymona - był to ten pokój, gdzie nocował Marvin Macy przez kilka nocy, które spędził w tym domu, a przedtem był to pokój ojca panny Amelii. Umeblowanie jego składało się z wielkiej szafy, komody okrytej sztywną lnianą serwetą obszytą po brzegach klockową koronką i stołu o marmurowym blacie. Łóżko było olbrzymie, staroświeckie łożo z baldachimem wspartym na czterech rzeźbionych słupkach z różanego drzewa. Na nim leżały dwa puchowe materace, podglówki i liczne ręcznie robione jaśki. Było tak wysokie, że pod nim wsunięte znajdowały się dwa drewniane schodki; z dotychczasowych użytkowników nikt ich dotąd nie potrzebował, ale kuzyn Lymon wyciągał je spod łoża co wieczór i wspinał się po nich uroczyście. Obok tych schodków, ale wepchnięty skromnie poza zasięg wzroku, stał jeszcze porcelanowy nocnik malowany w różowe róże. Ciemnej lśniącej podłogi nie przykrywał żaden dywan, a firanki były z czegoś białego, także ozdobione po brzegach szeroką klockową koronką.

Po drugiej stronie saloniku znajdował się pokój: panny Amelii, ale ten był mniejszy i bardzo zwyczajnie urządzony. Łóżko miała wąskie, sosnowe. W komodzie trzymała spodnie, koszule i suknię niedzielną, a w ściennej szafce wbiła dwa gwoździe, na których wieszała gumowe buty. W tym pokoju nie było ani firanek, ani dywanów, ani żadnych ozdób.

Duży środkowy pokój, salonik, był elegancki. Przed kominkiem stała sofa z różanego drzewa, pokryta podniszczonym zielonym jedwabiem. Stoliki o marmurowych blatach, dwie singelrowskie maszyny do szycia, wielki wazon pełen trawy z pampasów - wszystko tu było drogie i paradne. Najważniejszą część umeblowania saloniku stanowiła okazała oszklona serwantka, w której trzymano



liczne skarby i pamiątki. Panna Amelia dodała dwa przedmioty do tej kolekcji: jednym był duży żołędź wodnego dębu, a drugim niewielkie aksamitem wyścielone pudełeczko z dwoma małymi szarawymi kamykami. Czasem, kiedy akurat nie miała nic lepszego do roboty, panna Amelia wyjmowała z serwantki to pudełeczko, potem przy oknie przyglądała się dwom kamykom trzymanym na dłoni, na twarzy jej malowało się coś jakby zafascynowanie, niepewny respekt i lęk. Były to kamienie nerkowe samej panny Amelii, wycięte przez doktora w Cheehaw przed kilkoma laty. Od pierwszej do ostatniej chwili doświadczenie to przeżyła okropnie i nic z tego nie zyskała, tylko te dwa małe kamyki, musiała więc cenić je teraz wysoko, w przeciwnym razie bowiem należałoby się przyznać do kiepskiego interesu. Dlatego je zachowała, a w drugim roku pobytu kuzyna Lymona dała je osadzić jako breloczki na łańcuszku do zegarka, który dostał od niej w prezencie. Drugi przedmiot, jaki dodała do kolekcji w serwantce, duży żołędź, był jej bardzo drogi, ale kiedy patrzyła na niego, twarz jej zawsze wyrażała smutek i pomieszanie.

- Amelio, co to znaczy? - spytał raz kuzyn Lymon.

- To po prostu żołędź - odpowiedziała. - Po prostu żołędź, znalazłam go tego popołudnia, kiedy Duży Tata umarł.

- Co to znaczy? - nalegał kuzyn Lymon.

- To znaczy, że zobaczyłam tego żołędzia na ziemi akurat tego dnia. Podniosłam go i wsadziłam do kieszeni. Sama nie wiem czemu.

- Co za dziwny powód, żeby go przechowywać - powiedział kuzyn Lymon.

Liczne rozmowy panny Amelii z kuzynem Lymonem prowadzone były w tych górnych pokojach zazwyczaj w godzinach po północy, wtedy kiedy garbusowi najtrudniej się zasypiało. Zasadniczo panna Amelia należała do osób milczących, takich, co to nie miały językiem na każdy temat, jaki im wpadnie do głowy. Było jednak kilka tematów, na które rozprawiała chętnie. Wszystkie one miały jedną cechę wspólną - były nieograniczone. Lubiła roztrząsać

takie kwestie, nad którymi można ślęczeć dziesięć lat i dalej pozostaną nie do rozwikłania. Z drugiej strony kuzyna Lymona pasjonowała rozmowa na byle jaki temat, ponieważ był szalonym gadułą. Różnili się też podejściem do każdego tematu.

Panna Amelia stale operowała ogólnikami wypowiedzianymi cicho, w zamyśleniu i ciągnącymi się wolno, bez końca i bez rezultatu, a tymczasem kuzyn Lymon przerywał jej niekiedy, by całkiem jak sroka podchwycić jakiś szczegół, który chociaż często nieistotny, był przynajmniej konkretny i miał ścisły związek z czymś dotyczącym spraw bliskich i praktycznych. Do ulubionych tematów panny Amelii należały: gwiazdy, rozważania, dlaczego Murzyni są czarni, najlepszy sposób leczenia raka i tym podobne, Ojciec stanowił jeden z nie kończących się tematów, bardzo jej drogich.

- Mój Boże - mawiała na przykład do Lymona. - Jak ja wtedy spałam. Szłam do łóżka, jak tylko zapalano lampy, i spałam, tak jakbym była zanurzona w ciepłym smarze do osi. A o świcie Duży Tata przychodził, kładł mi rękę na ramieniu i mówił: „Budź się, Mała.” A potem, kiedy już piec w kuchni rozgrzał się do gorąca, stawał na dole schodów i wołał do mnie na górę: „Smażone kartofle!”, albo: „Jajka na szynce.” A ja zbiegałam na dół i ubierałam się przy ciepłym piecu, wtedy kiedy Duży Tata mył się przy pompie na podwórzu. A potem szliśmy razem do kotła albo do...

- Smażone kartofle dziś rano były niedobre - przerywał kuzyn Lymon. - Za szybko podsmażone i tylko z brzegu, a w środku całkiem zimne.

- A jak Duży Tata pędził wtedy samogon... - I tak ciągnęły się te rozmowy, podczas gdy panna Amelia siedziała z długimi nogami wyciągniętymi daleko w stronę kominka, bo ogień palił się u nich zawsze, zima czy lato, jako że kuzyn Lymon był zmarzluchem. Przesiadywał stale naprzeciw niej, w niskim fotelu, niezupełnie dotykając nogami ziemi, i zazwyczaj z klatką piersiową dobrze otuloną kocem albo zielonym wełnianym szalem. Panna Amelia nie

mówiła o swoim ojcu z nikim oprócz kuzyna Lymona.

To był jeden z jej sposobów okazywania mu miłości. Darzyła go zaufaniem we wszystkich najważniejszych i najbardziej osobistych sprawach. Tylko on wiedział, gdzie przechowywała planik pobliskiej działki z zaznaczonymi miejscami, w których zakopała ileś tam beczek samogonu. Tylko on miał dostęp do jej książeczki czekowej i do klucza od serwantki z bibelotami. Miał prawo brać z kasy pieniądze, więc brał, i to całymi garściami - bo bardzo lubił, gdy mu głośno pobrzękiwały w kieszeni. Do niego należało niemal wszystko w całym budynku, ilekroć bowiem był nie w humorze, panna Amelia zaczynała krążyć po domu i wyszukiwać dla niego prezenty - tak że w końcu nie pozostało jej pod ręką niemal nic, co by mu jeszcze mogła podarować. Jedynym wycinkiem życia, którego nie chciała dzielić z kuzynem Lymonem, było wspomnienie owego dziesięciodniowego małżeństwa. Jedynym tematem, którego ci dwoje nigdy, przenigdy nie poruszyli między sobą, był Marvin Macy.

Tak więc pozwólmy, by lata mijały sobie powoli, aż do pewnego sobotniego wieczoru, w sześć lat po tym, jak kuzyn Lymon pojawił się w mieście. Był właśnie sierpień i przez cały dzień niebo wisiało nad miastem jak płachta żaru. Teraz zbliżał się zielony zmierzch, a z nim możliwość wytchnienia. Ulicę pokrywała calowa warstwa suchego złocistego pyłu, a dzieciaki uganiały półgole, zgrzane, kichały często i sprzeczały się ze sobą. W przedzalni ukończono pracę w południe. Wzdłuż całej głównej ulicy ludzie wypoczywali siedząc na schodkach przed swoimi domkami, a kobiety wachlowały się liśćmi palmowymi. Na przedniej ścianie domu panny Amelii wisiał duży szyld. Tylna weranda była chłodna dzięki zaciągniętym żaluzjom i tu siedział kuzyn Lymon kręcąc lody w maszynce - często odsuwał na bok warstwę soli i lodu i podnosił w górę mieszadło, żeby trochę polizać i sprawdzić, jak idzie. Jeff w kuchni zajęty był gotowaniem. Rankiem tego dnia panna Amelia

wywiesiła na ścianie frontowej werandy zawiadomienie: „Dziś wieczór - kurczaki, 20 centów porcja.” Knajpa była już otwarta, a panna Amelia właśnie skończyła pracę w kantorku. Wszystkie osiem stołów już zajęto, a od strony pianoli dolatywała pobrzękująca melodyjka.

W kącie blisko drzwi siedział przy stole Henry Macy z jakimś dzieckiem. Pił szklanką samogon, co było u niego rzeczą niezwykłą, jako że alkohol łatwo mu szedł do głowy i pobudzał do płaczu albo do śpiewu. Twarz miał bardzo bladą, a lewym okiem mrugał nerwowo, jak zawsze, kiedy był czymś przejęty. Wsunął się do knajpy trochę bokiem i po cichu, a tym, którzy go witali, nie odpowiedział ani słowa. Dziecko siedzące przy nim należało do Horacego Wellsa, a przyprowadzono je tu, do panny Amelii, już rano do leczenia.

Panna Amelia wyszła ze swego kantorka w dobrym humorze. Doglądnęła paru drobiazgów w kuchni i wkroczyła do knajpy z kurzym kuprem w palcach, ponieważ był to jej ulubiony kawałek. Rozejrzała się wokoło, sprawdziła, że wszystko w porządku, i podeszła do stolika w rogu, gdzie siedział Henry Macy. Przekręciła krzesło oparciem do stołu i siadła na nim jak na koniu, bo chciała tam spędzić tylko chwilkę, a jeszcze nie miała ochoty na kolację. Z tylnej kieszeni kombinezonu wyciągnęła butelkę leku na krup, mikstury z alkoholu, cukru lodowego i jakiegoś jeszcze tajemnego składnika, odkorkowała ją i przytknęła do ust dziecku. Potem odwróciła się ku Henry'emu Macy i widząc nerwowy tik w jego lewym oku spytała:

- Co ci jest?

Zdawało się, że Henry Macy już, już wydusi z siebie coś specjalnie trudnego, ale popatrzył długo w oczy panny Amelii, przełknął ślinę i nie powiedział ani słowa.

Wobec tego panna Amelia zajęła się znów swoim małym pacjentem. Tylko głowę dziecka widać było ponad blatem stołu. Twarz miało bardzo czerwoną, powieki przymknięte i półotwarte usta. Przyprowadzono je tu, bo miało wielki, twardy i mocno nabrany

czyrak na biodrze, więc panna Amelia miała go przeciąć. Panna Amelia stosowała wobec dzieci specjalną zasadę: nie lubiła patrzeć na nie obolałe, wrywające się i przerażone. Dlatego też trzymała dziecko u siebie już od rana, dawała mu lukrecjowe ciagutki i raz po raz łyk syropu przeciw krupowi, a przed wieczorem zawiązała mu serwetkę pod brodą i posadziła do sutej kolacji. Teraz siedziało jeszcze przy stole z kiwającą się w obie strony głową, a od czasu do czasu przy oddychaniu słychać było ciche stęknienie.

Po knajpie przeleciał nagły szum, więc panna Amelia obejrzała się szybko. To wszedł kuzyn Lymon. Garbus wparadował do wnętrza jak co wieczór. Doszedłszy do środka izby, zatrzymał się i bystro oglądał zgromadzonych, by zorientować się, jacy to ludzie i co za emocjonalne możliwości na dzisiejszy wieczór w sobie kryją. Garbus był wielkim intrygantem, lubił siać wkoło zamęt i umiał, nie otwierając ust, doprowadzić ludzi do tego, że skakali sobie do gardła, aż dziw brał. To przez niego bliźniacy Rainey pokłócili się przed dwoma laty o składany nóż i od tego czasu słowem się do siebie nie odezwali. To on był obecny przy wielkiej bójce Ripa Wellborna z Robertem Calvert Hale, a prawdę mówiąc, to i przy każdej innej, jaka się tu odbyła od dnia, kiedy się pojawił w miasteczku. Pakował nos we wszystko, znał najbardziej intymne sprawy każdego i stale właził tam, gdzie nie miał prawa. A jednak, dziwna rzecz, to właśnie z powodu garbusa knajpa miała takie powodzenie. Nigdy nie bywało w niej tak wesoło, jak wtedy gdy on tam był. Wystarczyło, że wszedł, a już wszyscy podświadomie czuli wzrastające napięcie, bo z tym wścibskim człowieczkiem nigdy nie wiedziałeś, co tobie może się przytrafić albo co może się nagle przydarzyć za jego sprawą innym zebranych w knajpie. Ludzie nigdy nie są tak swobodni, tak na umór się nie bawią jak wtedy, gdy grozi im jakaś możliwość kłopotów czy nieszczęścia. I dlatego ilekroć garbus wkraczał do knajpy, od razu każdy zerkał na niego, zaczynały się głośne rozmowy i wybijanie korków z butelek.

Lymon pokiwał ręką do Stumpy'go MacPhaila, który siedział razem z Merlie Ryanem i Henrym Ford Crimpem.

- Wybrałem się dzisiaj nad Zgniłe Jezioro na ryby - zaczął. - I po drodze musiałem przejść ponad czymś, co wyglądało jak wielki pień drzewa. Ale kiedy go przekraczałem, poczułem, że się rusza, i wtedy przyjrzałem się lepiej temu pniakowi. No i okazało się, że stoję rozkraczony nad aligatorem długim jak od drzwi frontowych do kuchni, a grubym jak maciora.

Garbus trajkotał dalej. Każdy spoglądał na niego od czasu do czasu, jedni słuchali jego gadaniny, inni nie. Bywały dni, kiedy we wszystkim, co mówił, nie znalazłbyś jednego słowa prawdy, tylko puste przechwałki. Tak właśnie jak dzisiaj. Przez całutki dzień wylegiwał się w łóżku z powodu bólu gardła, zwłókł się dopiero późnym popołudniem, żeby ukręcić lody. Wszyscy o tym wiedzieli, a mimo to stał sobie teraz na środku knajpy i plótł takie bujdy pełne samochwalstwa, że uszy więdły.

Panna Amelia przyglądała mu się z rękami w kieszeniach i głową lekko przegiętą. W jej szarych, zezujących oczach była jakaś miękkość, gdy tak łagodnie uśmiechała się do siebie. Od czasu do czasu przenosiła wzrok z garbusa na pozostałych ludzi - i wtedy jaśniała w nim duma i coś niby wyzwanie, jakby szukała takiego, co odważyłby się zakwestionować prawdziwość tych wszystkich błazeńskich opowieści. Jeff zaczął wnosić kurczaki, już wyłożone na talerze, a nowe elektryczne wentylatory poruszały powietrze z miłym chłodnymi warkotem.

- To małe zasnęło - powiedział wreszcie Henry Macy.

Panna Amelia spuściła wzrok na małego pacjenta siedzącego obok: twarz jej wyrażała już tylko zainteresowanie tym, co miała do zrobienia. Dziecko opierało się podbródkiem o brzeg stołu, a strużka śliny czy może syropu przeciwkrupowego spływała mu z ust. Powieki miało zupełnie zamknięte, a parę komarów spokojnie siedziało w kącikach oczu. Panna Amelia położyła dziecku rękę na głowie i po-

trząsnęła nim mocno; nie obudziło się jednak. Wobec tego uniosła je zza stołu ostrożnie, żeby nie dotknąć bolesnej części nogi, i skierowała się do kantorka. Henry Macy podążył za nią i zamknął drzwi.

Kuzyn Lymon był znudzony tego wieczora. Nie zdarzyło się nic ciekawego, a goście mimo upału byli w dobrych humorach. Henry Ford Crimp i Horacy Wells siedzieli przy środkowym stoliku spleceni uściskiem i chichotali rozbawieni długą dykteryjką, ale kiedy do nich podszedł, nic z tego nie mógł zrozumieć, bo nie słyszał początku. Księżyc rozjaśniał zakurzoną drogę, a karłowate brzoskwiniowe drzewka stały czarne i nieruchome: nie było ani odrobiny wiatru, sennie brzęczenie komarów nad bagniskami brzmiało niby echo cichego wieczoru. Miasteczko zdawało się ciemne, tylko daleko na prawo od drogi migotała lampa. Gdzieś tam w ciemnościach jakaś kobieta śpiewała wysokim, wezbranym głosem i melodia ta nie miała ani początku, ani końca, a składały się na nią tylko trzy dźwięki powtarzające się wciąż od nowa. Garbus stał oparty o balustradę werandy i spoglądał na pustą drogę, jakby w nadziei, że ktoś nadejdzie.

Wtem za nim zabrzmiały kroki, a zaraz potem głos:

- Kuzynie Lymonie, twoja kolacja jest już na stole.

- Nie mam dziś apetytu - odpowiedział garbus, który przez cały dzień zapychał się swoją słodką tabaką. - Taką mam gorycz w ustach.

- Tylko odrobinę - namawiała panna Amelia. - Pierś, wątróbkę i serce.

Razem wrócili do jasno oświetlonego lokalu i zasiedli wraz z Henrym Macy. Ich stolik był największy, a na nim, pośrodku, w butelce po co-ca-coli, tkwił bukiet lilii z moczarów. Panna Amelia załatwiła małego pacjenta i była z siebie zadowolona. Zza zamkniętych drzwi kantorka dobiegło raz tylko parę zaspanych jęków i zanim pacjent zdążył się zbudzić i wystraszyć, już było po wszystkim. Obecnie dziecko z nabrzmiałą, bardzo czerwoną twarzą

spao głęboko, przewieszone na ramieniu ojca tak, że małe rączki dyndały mu na plecach; wybierali się już do domu.

Henry Macy dalej milczał. Nakładał uważnie, przełykał cicho i nie zjadł nawet jednej trzeciej tego co kuzyn Lymon, który wprawdzie zapowiadał, że nie ma apetytu, ale teraz dobierał sobie raz po raz na talerz. Od czasu do czasu Henry Macy spoglądał na pannę Amelię, ale nic nie mówił.

Był to typowy sobotni wieczór. Dwoje starszków, którzy przyjechali ze swojej dalekiej farmy do miasteczka, wahało się chwilę w progu, trzymając się za ręce, a wreszcie weszło do środka. Żyli ze sobą od tak dawna ci dwoje, że wyglądali podobnie, prawie jak bliźnięta. Byli ogorzali, skurczeni i przypominali dwa małe chodzące fistaszki. Wyszli wcześniej, a o północy większości pozostałych już także nie było. Rosser Cline i Merlie Ryan dalej grali w szachy, a Stumpy MacPhail siedział nad butelką samogonu (jego żona nie pozwalała na to w domu) i prowadził spokojną dyskusję sam ze sobą. Henry Macy nie wyszedł dotąd, co było niezwykle, ponieważ zazwyczaj kładł się spać, jak tylko zapadł zmrok. Panna Amelia ziewała sennie, ale kuzyn Lymon był podniecony, więc nie proponowała, żeby zamykać lokal.

Wreszcie o pierwszej w nocy Henry Macy spojrzął w narożnik sufitu i powiedział cicho do panny Amelii:

- Dostałem dzisiaj list.

Panna Amelia nie miała powodu, by przejść się tą wiadomością, bo dostawała wciąż najróżniejsze urzędowe listy i katalogi.

- Dostałem dzisiaj list od mego brata - powtórzył Henry Macy.

Garbus, który dreptał sobie po całym pokoju z rękami założonymi na plecach, zatrzymał się nagle. Zawsze umiał wyczuć od razu każdą zmianę nastroju otaczających go ludzi. Popatrzył po twarzach wszystkich obecnych i czekał.

Panna Amelia zmarszczyła się i zacisnęła prawą pięść.

- To pięknie.

- Zwolnili go warunkowo. Wyszedł już z więzienia.

Panna Amelia pociemniała na twarzy, a potem wstrzasnął ją dreszcz, chociaż noc była ciepła. Stumpy MacPhail i Merlie Ryan odsunęli na bok szachownicę. W lokalu było zupełnie cicho.

- Kto? - spytał kuzyn Lymon. Jego wielkie blade uszy zdawały się coraz większe i zupełnie nieruchome. - Co takiego?

Panna Amelia głośno położyła dłonie na blacie stołu.

- Bo Marvin Macy to... - ale głos jej zachrypł i po chwili dokończyła: - Należy mu się, żeby gnił w tym więzieniu do końca życia.

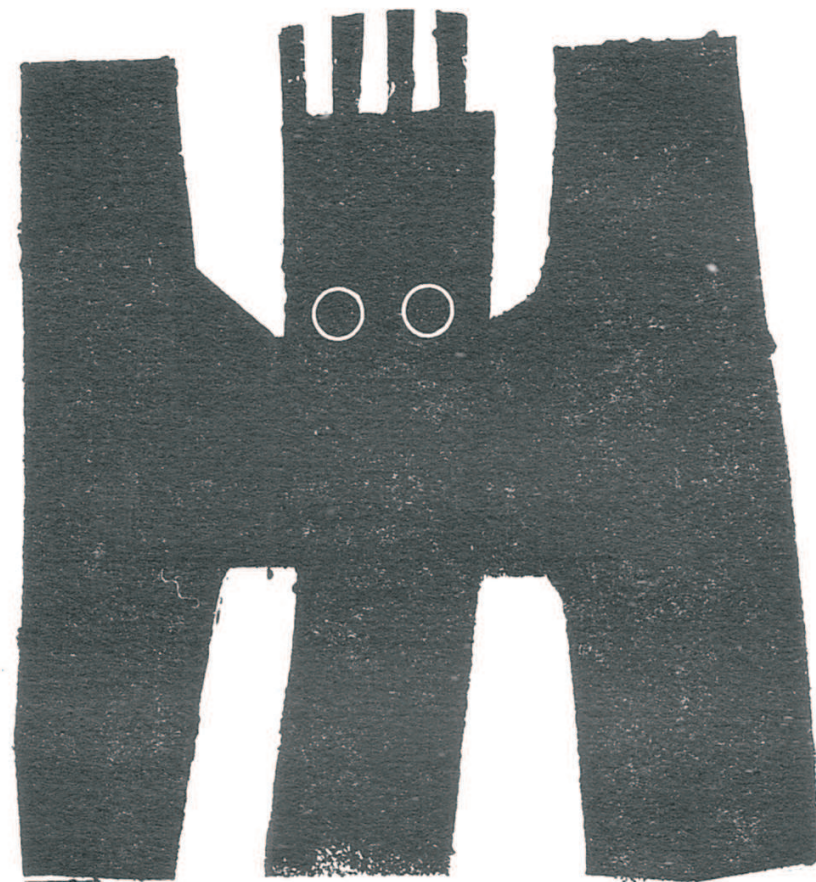
- A za co? - spytał kuzyn Lymon.

Nastała długa cisza, bo nikt właściwie nie wiedział, jak na to pytanie odpowiedzieć.

- Okradł trzy stacje benzynowe - powiedział Stumpy MacPhail. Ale te słowa zabrzmiały tak, jakby na tym się nie kończyły jego przewiny, jakby były jeszcze i inne, nie wymienione.

Garbus zniecierpliwił się. Nie mógł znieść tego, żeby w czymś nie brać udziału, choćby to nawet była tylko cudza bieda. Imię Marvina Macy nie było mu znane, ale drażniło go jak każda wzmianka o czymś, o czym inni wiedzieli, a on nie - tak jak mowa o starym tartaku rozebranym przed jego przybyciem, jak przypadkowa uwaga o biednym Morrisie Finesteinie czy rozmowa o jakimkolwiek zdarzeniu sprzed jego czasów. Niezależnie od wrodzonej ciekawości, garbusa specjalnie interesowały włamania i wszelkiego rodzaju zbrodnie. Teraz chodząc wokół stołu mruczał pod nosem słowa „zwolniony warunkowo” i „więzienie”. Ale chociaż dopytywał się uporczywie, mowy nie było o dowiedzeniu się czegokolwiek, jako że nikt nie ośmieliłby się wspomnieć o Marvinie Macy tutaj, w obecności panny Amelii.

- Niedużo wiem z tego listu - mówił dalej Henry Macy. - Nie napisał, dokąd się wybiera.



- Hm! - Twarz panny Amelii wciąż jeszcze była ciemna i ponura. - W moim domu jego noga nie postoi.

Odsunęła krzesło od stołu i zaczęła się przygotowywać do zamykania lokalu na noc. Możliwe, że wzmianka o Marvinie Macy zafrasowała ją, bo zaciągnęła kasę do kuchni i umieściła w schowku. Henry Macy poszedł do siebie ciemną drogą. Ale na frontowej werandzie Henry Ford Crimp i Merlie Ryan jeszcze dość długo ociągali się z odejściem. Później Merlie Ryan twierdził z uporem, że właśnie tego wieczora wyraźnie przeczuł to wszystko, co miało się wydarzyć. Ale nikt w mieście nie zwracał na to uwagi, bo wiadomo było, że Merlie Ryan zawsze coś takiego w ludzi wmawia. Panna Amelia i kuzyn Lymon przez jakiś czas rozmawiali jeszcze w saloniku. A kiedy w końcu garbus uznał, że będzie już mógł zasnąć, umocowała mu nad łóżkiem siatkę przeciw moskitom i poczekała, by zakończył pacierze. Potem przebrała się w długą nocną koszulę, wypaliła dwie fajki i wreszcie, po dłuższym czasie, zasnęła.

Ta jesień była okresem pogodnym. Zbiory cała okolica zwiozła dobre, a na targu w Forks Falls ceny tytoniu utrzymywały się wysokie. Po długim upalnym lecie pierwsze chłodne dni miały w sobie czystą, pogodną świeżość. Wzdłuż zakurzonych dróg złościły się kępy solidago, a łodygi trzciny cukrowej były dojrzałe i fioletowe. Co dnia z Cheehaw przyjeżdżał autobus i zabierał kilkoro młodszych dzieci do szkoły, by zdobywały wiedzę. W sosnowych lasach chłopcy polowali na lisy, na sznurach od bielizny wietrzono różnokolorowe kołdry, a pataty kopcowano na nadchodzącą zimę pod warstwami słomy. Wiezorami delikatne smugi dymu wznosiły się z kominów, a księżyc stał okrągły i pomarańczowy na jesiennym niebie. Chyba nigdy nie jest tak cicho jak jesienią w te pierwsze zimne noce. Czasem, późnym wieczorem, jeśli nie było wiatru, można było dosłyszeć w miasteczku cienki, ostry gwizd pociągu, który przez Society City toczył się w swą daleką drogę ku Północy.

Dla panny Amelii Evans zaczął się okres bardzo pracowity. Była na nogach od świtu do nocy. Zrobiła nowy, większy zbiornik do swojej gorzelni i przez tydzień podpędziła tyle samogonu, że można by nim spoić cały okręg. Jej stary muł był zupełnie skołowany od mielenia ogromnej ilości sorgo, a panna Amelia gotowała weki i ustawiała na półkach przetwory z gruszek. Czekwała teraz na pierwszy mróz, żeby urządzić świniobicie; kupiła trzy olbrzymie wieprze, z których chciała zrobić dużo kiełbasy i kruszki, a resztę mięsa zostawić do pieczenia ma wolnym powietrzu.

W czasie tych tygodni wiele ludzi dostrzegło w pannie Amelii pewną zmianę. Śmiech jej rozlegał się często, niski i dudniący, a pogwizdywanie dźwięczało beztrósko i żartobliwie. Wciąż od nowa wypróbowywała własne siły, podnosząc ciężary albo macając palcem swoje twarde bicepsy. Pewnego dnia siadła przy maszynie i wystukała na niej opowiadanie, w którym roiło się od cudzoziemców, tajemniczych zapadni i milionowych sum. Kuzyn Lymon był przy niej stale, deptał jej po piętach i kiedy patrzyła na niego, twarz jej rozjaśniała się i łagodniała, a w głosie, gdy zwracała się do garbusa, brzmiało coś jakby miłość.

Wreszcie nadeszły pierwsze zimna. Obudziwszy się pewnego ranka panna Amelia znalazła na szybach białe kwiaty, a szron posrebrzył trawę koło domu. Wobec tego roznieciła pod kuchnią wielki ogień i wyszła na dwór osądzić, jaki zapowiada się dzień. Powietrze było świeże i ostre, niebo jasnozielonawe, bez jednej chmurki. Niedługo zaczęli nadchodzić z okolicy ludzie, żeby zasięgnąć języka, co też panna Amelia sądzi o pogodzie. Ona zaś postanowiła zabić największego wieprza i wiadomość ta szybko rozeszła się wokoło. Świnię zabito i rozpalono mały ogień z polan dębowych we wgłębieniu za domem, gdzie miała piec się wieprzowina. W zimowym powietrzu wisiała ciepła woń krwi i dymu dolatującego z posesji panny Amelii, dudniły kroki, dźwięczały głosy. Ona sama doglądała wszystkiego, komenderowała ludźmi i nie

minęło parę godzin, a większą część pracy ukończono.

Ale ponieważ miała tego dnia coś specjalnie ważnego do załatwienia w Cheehaw, więc kiedy już była pewna, że wszystko idzie sprawnie, zapuściła motor Forda i jęła szykować się do wyjazdu. Zaproponowała kuzynowi Lymonowi, żeby z nią pojechał - prawdę powiedziawszy, powtarzała to zaproszenie aż siedem razy - ale garbusowi ciężko było oderwać się od całego tego zamieszania i wolał zostać. Wyglądało, jakby panna Amelia trochę się tym zmartwiła, bo zawsze starała się mieć go przy sobie; wystarczyło, że odjechała na krótko i niedaleko, a już ogarniała ją okropna tęsknota za domem. Ale poprosiwszy siódmy raz przestała nalegać. Przed wyjazdem wzięła jeszcze jakiś patyk i narysowała wyraźną krechę na ziemi wokół wgłębienia na ognisko, mniej więcej o dwa kroki od krawędzi, i przykazała garbusowi, żeby nie ośmielił się przestąpić tej granicy. Wyjechała po obiedzie i miała zamiar wrócić przed zmierzchem.

Otóż wcale nie tak rzadko się zdarza, że ciężarówka czy inny wóz nadjeżdża szosą i przemierza miasteczko w drodze z Cheehaw do jakiejś innej miejscowości. Co roku na przykład przybywa tu poborca podatkowy, żeby poużerać się z bogaczami takimi jak panna Amelia. A kiedy ktoś taki jak Merlie Ryan wpadnie na pomysł, żeby sobie skombinować auto na kredyt albo wpłaciwszy trzy dolary zadatku zdobyć elektryczną lodówkę, jedną z tych, co to widać przez okna wystawowe w Cheehaw, wtedy na pewno wnet zjawi się jegomość z miasta i będzie zadawał tyle wścibskich pytań, dowie się tyle o różnych kłopotach nabywcy, że zupełnie przekreśli jego szansę na kupienie czegokolwiek na raty. Czasami, zwłaszcza od kiedy zaczęła się praca na szosie do Forks Falls, przejeżdżają przez miasto ciężarówki dowożące tam więźniów. A często także automobiliści zmyliwszy drogę przystają tu, żeby dowiedzieć się, którądy dalej jechać. Tak więc nie było nic dziwnego w fakcie, że późnym popołudniem tego dnia jakaś ciężarówka, przejeżdżając koło przedzalni, zatrzymała się na chwilę koło domu panny Amelii. Jakiś

mężczyzna zeskoczył z tyłu i ciężarówka odjechała.

Przybysz stał na środku drogi i rozglądał się dookoła. Był wysoki, o falistych ciemnych włosach i powolnym spojrzeniu mocno niebieskich oczu. Wargi miał czerwone, a uśmiechał się półgębkiem, leniwie, jak to pyszałek. Ubrany był w czerwoną koszulę i szeroki pas z tłoczonej skóry, a w ręce trzymał walizkę i gitarę. Pierwszy zauważył go kuzyn Lymon, który usłyszawszy zgrzyt zmiany biegów przyszedł sprawdzić, co to takiego. Garbus wysunął głowę zza narożnika werandy, ale nie pokazał się cały. Patrzyli przez chwilę na siebie, garbus i przybysz, ale nie było to takie spojrzenie, jakie zwykle wymieniają przy pierwszym zetknięciu nieznanymi, którzy usiłują ocenić się nawzajem. Było w ich wzroku coś szczególnego, trochę jakby w tym momencie dwaj przestępcy rozpoznali się wzajemnie. A potem mężczyzna w czerwonej koszuli wzruszył ramionami i odwrócił się. Garbus, bardzo blady, patrzył przez chwilę, jak tamten odchodzi, a potem ostrożnie, w odległości kilku kroków ruszył za nim.

Po całym miasteczku rozniosło się natychmiast, że Marvin Macy wrócił. Naprzód poszedł do przedzalni, oparł się łokciami o parapet okna i zajrzał do środka. Bardzo lubił przyglądać się ludziom ciężko pracującym, jak każdy patentowany darmożjad. W całej przedzalni zapanowało osłupienie i zamieszanie. Farbiarze porzucili gorące kadzie, prądki i tkacze zapomnieli o swoich maszynach, tak że i sam Stumpy MacPhail, który był majstrem, nie bardzo wiedział, co ma robić. Marvin Macy wciąż uśmiechał się po swojemu półgębkiem i nawet kiedy zobaczył brata, ta jego bezczelna mina nie uległa zmianie. Obejrawszy sobie przedzalnię Marvin Macy ruszył drogą do domu, w którym się wychował, i tam na frontowej werandzie zostawił walizkę i gitarę. Potem obszedł dookoła sadzawkę przy przedzalni, obejrzał kościół, trzy sklepy i resztę miasteczka. W pewnej odległości za nim dreptał garbus potulnie, z rękami w kieszeniach, wciąż jeszcze bardzo blady.

Robiło się późno. Czerwone zimowe słońce zachodziło i w tamtej stronie niebo było ciemnozłote i szkarłatne. Jaskółki zlatywały się do gniazd, zapalano lampy. Chwilami zawiewało dymem i ciepłym, mocnym zapachem wieprzowiny przypiekającej się wolno na palenisku poza domem. Obszedłszy miasteczko Marvin Macy stanął przed domostwem panny Amelii i przeczytał szyld nad wejściem. Potem nie przejmując się wcale tym, że wchodzi na teren zakazany, przeszedł wzdłuż bocznej ściany na tyły domu. Syrena fabryczna zawyła cienko raz jeden na zakończenie dziennej zmiany. Nie minęła chwila, a już za domem panny Amelii oprócz Marvina Macy zebrało się wielu innych - Henry Ford Crimp, Merlie Ryan, Stumpy MacPhail, a jeszcze mnóstwo dzieci i starszych słoczonych wokół posiadłości przyglądało się ciekawie. Niewiele mówiono. Marvin Macy stał całkiem osobno po jednej stronie paleniska, reszta zbita ciasno trzymała się z drugiej strony. Kuzyn Lymon, trochę oddalony od innych, nie odrywał oczu od twarzy Marvina Macy.

- Dobrześ się bawił w tym więzieniu? - zapytał nagle Merlie Ryan z głupim chichotem.

Marvin Macy nie odpowiedział ani słowa. Wyjął z tylnej kieszeni spodni duży składany nóż, otworzył powoli i udawał, że ostrzy go o siedzenie spodni. Merlie Ryan raptownie ucichł i stanął tuż za szerokimi plecami Stumpy'ego MacPhaila.

Panna Amelia wróciła do domu, kiedy było już prawie ciemno. Naprzód doleciał z dala warkot jej samochodu, potem trzaśnięcie drzwiczek i taki odgłos, jakby coś ciężkiego wciągała po stopniach na frontową werandę. Słońce zaszło i w powietrzu była niebieska, przydymiona poświata wczesnego zimowego wieczoru. Panna Amelia schodziła powoli z tylnych schodków, a zgromadzeni na jej podwórzu czekali zupełnie cicho. Niewielu było takich, co ośmieliliby się stawić czoło panie Amelii, a przecież do Marvina Macy czuła zapiekłą, pełną goryczy nienawiść. Wszyscy czekali

więc, by zobaczyć, jak wpadnie w pasję, chwyci coś ciężkiego i przepędzi go sromotnie z miasta. Początkowo nie widziała jeszcze Marvina Macy i na jej twarzy malował się ten zadowolony i senny wyraz, jaki miała po każdym powrocie do domu.

Panna Amelia musiała dostrzec równocześnie i Marvina Macy, i kuzyna Lymona. Spoglądała to na jednego, to na drugiego, ale kiedy ostatecznie jej zdumiony i zgorszony wzrok zatrzymał się na jednym z nich - to nie na tym wypędku więziennym. Panna Amelia, jak i wszyscy pozostali, patrzyła na kuzyna Lymona, bo też było na co patrzeć.

Garbus stał tuż nad wglębieniem, a jego bladą twarz oświetlał miękko żar z dębowych polan. Kuzyn Lymon znał przedziwną sztukę, którą stosował zawsze, gdy chciał zaskarbić sobie czyjeś względy. Stojąc nieruchomo, po chwili lekkiego napięcia potrafił poruszać swymi wielkimi bladymi uszami bardzo szybko i zgrabnie. Wobec panny Amelii wystarczył ten trik, by garbus mógł uzyskać, czego tylko zapragnął. Otóż kiedy tak stał nad ogniskiem, uszy jego falowały gwałtownie, ale tym razem wpatrywał się nie w pannę Amelię; garbus uśmiechał się do Marvina Macy z błaganiem bliskim rozpacz. W pierwszej chwili Marvin Macy nie zwracał na niego uwagi, ale kiedy wreszcie rzucił spojrzenie w tę stronę, nie było w nim ani cienia uznania.

- Co się dzieje z tym łamagą? - spytał wskazując go kciukiem.

Nikt nie odpowiedział. Kuzyn Lymon zaś, widząc, że jego popisy nie odnoszą skutku, podwoił wysiłki. Zatrzepotał powiekami tak, że wyglądały jak dwie blade ćmy uwięzione w jego oczodołach. Przebierał nogami, poruszał dłońmi, aż wreszcie puścił się w jakiś dziwny, podobny do truchtu taniec. W resztkach przedwieczornego światła można go było wziąć za to dziecko, co straszy na bagnach.

Spośród wszystkich zgromadzonych na jednym tylko Marwinie Macy nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Ten pokurcz ma drgawki czy co? - spytał, a że nikt nie

odpowiadał, podszedł do garbusa i wymierzył mu mocnego kuksańca w głowę; tamten zachwiał się i upadł w tył, na plecy. Potem podniósł się, usiadł w tym samym miejscu, gdzie upadł, i wpatrując się dalej w Marvina Macy, z wielkim trudem raz jeszcze zdołał smutno zatrzepotać uszami.

Teraz wszyscy odwrócili się w stronę panny Amelii, żeby zobaczyć, co ona na to. Przez tyle lat kuzynowi Lymonowi nawet włos z głowy nie spadł, chociaż niejednego dobrze ręką swędziała. Niechby tylko ktoś ostrzej odezwał się do garbusa, panna Amelia nie dość że zamknęłaby zuchwalcowi kredyt, ale znalazłaby i inne sposoby, aby na długi czas obrzydzić mu życie. Dlatego też teraz nikt by się specjalnie nie zdziwił, gdyby panna Amelia siekierą rozplatała Marwinowi Macy głowę na swojej tylnej werandzie. A tymczasem nie zrobiła nic podobnego.

Zdarzało się czasem, że panna Amelia wyglądała, jak gdyby poruszała się w transie. Ale zazwyczaj przyczyna tego stanu była znana i zrozumiała, ponieważ panna Amelia jako dobry lekarz nigdy nie dawała od razu pacjentowi nowego lekarstwa ze zmielonych korzonków zebranych na bagnach i z innych nie wypróbowanych składników; ilekroć wymyśliła coś nowego, wypróbowywała to wpraw na sobie samej. Połykała wtedy ogromną dawkę i głęboko zamyślona cały następny dzień spędzała na chodzeniu od domu do murowanej wygódki. Często, kiedy ją nagle złapał silniejszy spazm bólu, stawała na chwilę nieruchomo, z zaciśniętymi pięściami, wbijając zezowate oczy w ziemię. Starła się wtedy rozpoznać, na jaki wewnętrzny organ to nowe lekarstwo działa i jaką chorobę mogłoby najskuteczniej leczyć. Otóż teraz, gdy patrzyła na garbusa i na Marvina Macy, twarz jej, ściągnięta jakimś wewnętrznym bólem, miała ten sam wyraz, chociaż w tym dniu żadnego nowego lekarstwa nie zażywała.

- To cię nauczy, ty łamago - warknął Marvin Macy.

Henry Macy odgarnął z czoła białawe, miękkie włosy i za-

kaszlał nerwowo. Stumpy MacPhail i Merlie Ryan niespokojnie szurali nogami, a dzieci i Murzyni stojący na skraju posiadłości trwali tam bez słowa. Marvin Macy złożył swój nóż, który dotąd ostrzył, potem rozejrzał się wokoło bez cienia strachu i z pewną siebie miną wyszedł na ulicę. Żar ogniska w dole zmieniał się stopniowo w szary, pierzasty popiół; było już całkiem ciemno.

Tak wyglądał powrót Maxvina Macy z więzienia. Nie było w miasteczku ani jednego człowieka, który by się ucieszył na jego widok. Nawet pani Mary Hale, dobra kobieta, co wychowywała go troskliwie i z miłością, nawet ta przybrana matka na jego widok wypuściła z rąk patelnię i wybuchnęła płaczem. Ale wszystko to nie speszyło wcale Marvina Macy. Rozsiadł się na tylnych schodkach domu pani Hale i leniwie brzdąkał na gitarze, a kiedy kolacja była gotowa, poodpychał tamtejsze dzieci i nabrał sobie kopiaty talerz, choć jedzenia było zaledwie tyle, żeby każdy dostał trochę placków kukurydzianych i mięsa. Zjadłszy, ułożył się na najlepszym i najcieplejszym pościeliu w pokoju od frontu i beztrudnie zasnął.

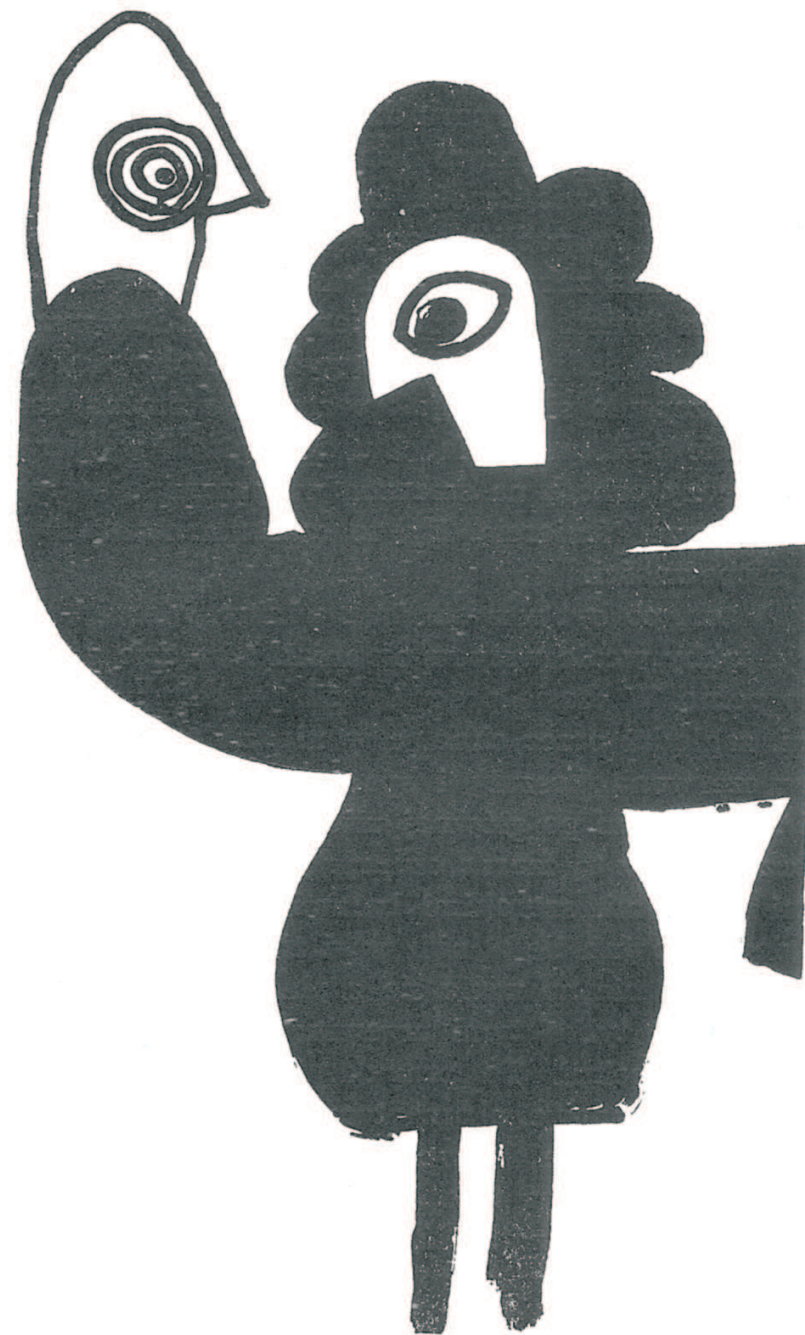
Tego dnia panna Amelia nie otwierała lokalu. Zaryglowała wszystkie drzwi i okna bardzo starannie i ani jej, ani kuzyna Lymona nie widziano w ciągu wieczoru, tylko przez całą noc w jej pokoju paliła się lampa.

Marvin Macy od samego przyjazdu, jak było do przewidzenia, ściągnął złą passę na miasteczko. Zaraz następnego dnia pogoda się zmieniła, zrobiło się gorąco. Już od samego rana w powietrzu stała lepka duchota, wiatr przynosił tylko zgniłe bagienne opary, a cienko bzykające moskity pokrywały niemal zieloną sadzawkę koło przędzalni. Był to upał zupełnie nieoczekiwany, gorszy niż w sierpniu, i wiele też przyniósł szkód. W okolicy bowiem prawie każdy, kto tylko miał tucznika, w ślad za panną Amelią poprzedniego dnia urządził świniobicie. A jakaż kiełbasa utrzyma się przy takiej pogodzie? Po paru dniach śmierdziało wszędzie powoli psującym się

mięsem, wszystkich przytłaczała świadomość, że tyle się go marnuje. Co gorsza, w pobliżu szosy do Forks Falls cała duża rodzina zebrana na jakąś uroczystość zatrąła się na śmierć pieczoną wieprzowiną, i to wszyscy, co do jednego. Nie ulegało wątpliwości, że mięso zepsuło się, ale jak poznać, co można bezpiecznie jeść, a co nie? Ludzie musieli wybierać pomiędzy ochotą na smaczną wieprzowinę a strachem przed śmiercią. Był to czas marnotrawstwa i niepewności.

A ten, co był wszystkiemu winien, Marvin Macy, jakby wcale wstydu nie miał. Wszędzie go było pełno. W czasie pracy kręcił się koło przędzalni, zaglądał przez okna, a w niedzielę ubierał się w czerwoną koszulę i spacerował z gitarą tam i z powrotem po głównej ulicy. Wciąż jeszcze był przystojny z tą czarną czupryną, czerwonymi ustami i silnymi, szerokimi barami; ale zbyt dobrze wiedziano już, ile w nim tkwi zła, więc mu ta jego uroda nie na wiele się zdała. A owo zło mierzono nie tylko tymi przewinami, które rzeczywiście popełnił. To prawda, iż obrabował trzy stacje benzynowe, a przedtem przywiódł do zguby najporządniejszą dziewczątką z całej okolicy i jeszcze śmiał się z tego. Wiele zdrożnych czynów można by mu zarzucić, ale niezależnie od nich wszystkich otaczała go - niczym nieustępliwa woń - jeszcze atmosfera jakiejś specjalnej podłości. A ponadto coś innego: nie pocił się nigdy, nawet w sierpniu, a to już jest niewątpliwie sprawa warta zastanowienia.

W miasteczku uznano, że Marvin Macy na pewno jest bardziej niebezpieczny teraz niż kiedykolwiek dotąd, bo przecież w więzieniu w Atlancie musiał się nauczyć zadawania uroku. Jakże inaczej wytłumaczyć bowiem wrażenie, jakie wywarł na kuzynie Lymonie? Toć garbus, od momentu gdy spojrzał pierwszy raz na Marvina Macy, był zupełnie jak opętany. Bez przerwy próbował włóczyć się za tym opryskiem i wymyślał coraz to nowe sposoby, by zwrócić jakoś na siebie jego uwagę. Tymczasem Marvin Macy dalej odnosił się do niego ze wstrętem albo go nie dostrzegał. Czasami garbus dawał za wygraną i siedząc na poręczy frontowej werandy trochę tak jak chory



ptak na drucie telefonicznym, żalił się głośno.

- Ale czemu? - pytała wtedy panna Amelia i zaciskając pięści patrzyła nań swymi zezowatymi szarymi oczami.

- Och, Marvin Macy - jęczał garbus i na sam dźwięk tego imienia zachłystywał się szlochem, aż zaczynała go podrzucać czkawka. - On był w Atlancie.

Panna Amelia tylko kiwała głową, a twarz jej była ciemna i ponura. Przede wszystkim nie pochwaliała żadnych podróży; nie znosiła takich wiercipiętów, co odbyli podróż do Atlanty albo jechali pięćdziesiąt mil po to tylko, żeby zobaczyć ocean.

- To, że był w Atlancie, nie przynosi mu zaszczytu.

- Ale on był w więzieniu! - odpowiedział garbus, stęskniony i smutny.

No i jak tu argumentować, kiedy ktoś czegoś takiego zazdrości? Panna Amelia była tak zdezorientowana, że nie bardzo wiedząc, co mówi, wyjąkała tylko:

- Był w więzieniu, kuzynie Lymonie? Przecież takim pobytem nie ma się co chwalić!

W ciągu następnych tygodni wszyscy bez ustanku obserwowali pannę Amelię. Robiła swoje myśląc o czym innym, z twarzą tak nieobecną, jakby znów wpadła w jeden ze swych leczniczych transów.

Z niewiadomego powodu nazajutrz po powrocie Marvina Macy przestała nosić kombinezon, a zaczęła na co dzień chodzić w czerwonej sukni, którą dotąd wdziewała tylko w niedzielę, na pogrzeby i rozprawy sądowe. Z upływem czasu próbowała w jakiś sposób wyjaśnić sytuację, ale trudno było połapać się w tym, co robiła. Jeżeli sprawiało jej przykrość patrzeć na to, jak kuzyn Lyonom drepce po mieście za Marvinem Macy, czemuż nie postawiła sprawy jasno, mówiąc garbusowi, że wyrzuci go z domu, o ile nie przestanie się zadawać z tamtym? Byłoby to zupełnie łatwe i wtedy kuzyn Lymon musiałby ulec jej żądaniu, bo w przeciwnym razie

znalazłby się na ulicy. Ale panna Amelia wydawała się zupełnie bez woli: po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, jaką wybrać linię postępowania. I jak większość ludzi w takiej niepewności wybrała najgorsze, a mianowicie próbowała kilku sposobów postępowania równocześnie, przy czym wszystkie one były ze sobą sprzeczne.

Knajpa była otwarta co wieczór, jak zwykle, i o dziwo, kiedy Marvin Macy dumnie wkraczał w drzwi z garbusem depczącym mu po piętach, panna Amelia nie tylko nie wyrzucała go, ale nawet nie żądała zapłaty za samogon i „uśmiechała się do niego dziwnym, krzywym uśmiechem. A równocześnie zastawiała na niego na moczarach okropne wnyki, które zabiłyby go niechybnie, gdyby się w nie dostał. Pozwoliła kuzynowi Lymonowi zaprosić go na niedzielny obiad, a potem, (kiedy schodził po schodach, próbowała podciąć mu nogi. Zaplanowała cały wielki program rozrywkowy dla kuzyna Lymona, który składał się z męczących wypraw na różne widowiska w odległych miejscowościach, z trzydziestomilowych przejazdów samochodowych do Chautauqua i jazd do Forks Falls, żeby sobie obejrzał paradę. Ogólnie biorąc, był to dla panny Amelii okres rozterki. Przeważała opinia, że coraz wyraźniej brak jej piątej klepki, i wszyscy byli ciekawi, jak też się to skończy.

Pochłódniało znowu, zima zapanowała w miasteczku, a wieczorami zmrok nadchodził wcześniej niż koniec drugiej zmiany w przędzalni. Dzieci nie rozbierały się na noc z najcieplejszej odzieży, a kobiety unosiły tyły spódnic grzejąc się sennie przy ogniu. Po deszczach błoto na drodze zamarzło w twarde głębokie koleiny, w oknach domów migotały słabo światełka lamp, drzewka brzoskwińniowe stały koślawe i nagie. W ciemne, ciche wieczory zimowe knajpa stanowiła ciepłe centrum miasteczka, oświetlona tak jasno, że jej okna widać było na odległość ćwierć mili wokoło. Wielki żelazny piec w głębi trzeszczał, huczał, rozpalony do czerwoności. Panna Amelia poszyła do okien czerwone firanki, a od przejeźdnego handlarza kupiła wielki bukiet papierowych róż, które wyglądały jak żywe.

Ale nie tylko ciepło i kolorowe ozdoby sprawiały, że ten lokal stał się właśnie tym, czym się stał, miejscem bardzo ważnym dla wszystkich. Dochodziła do tego jeszcze inna przyczyna, mająca swe źródło w jakiejś głęboko ukrytej dumie, nie znanej dotąd w tamtej okolicy. Aby zrozumieć tę nową dumę, trzeba nie zapominać ani na chwilę o taniości ludzkiego życia. Zawsze dużo ludzi gnieździło się w pobliżu przędzalni - a przecież bardzo rzadko się zdarzało, żeby każda rodzina miała najpotrzebniejszą odzież i żeby starczało mąki i boczku dla każdego. Życie stawało się jedną długą, uporczywą harówką po to tylko, by zdobyć najkonieczniejsze środki utrzymania. A już najbardziej wprowadza w błąd to, że wszystkie pożyteczne rzeczy mają swoją cenę, wszystkie można nabyć tylko za pieniądze i tak już świat jest urządzony. Bez specjalnego zastanawiania się wiesz, że bela bawełny ma swoją cenę, a kwarta melasy swoją. Ale nigdy dotąd nie wyznaczono ceny na życie ludzkie. Dostajemy je darmo, a potem bez płacenia zostaje nam odebrane. Co jest więc warte? Kiedy się rozejrzysz wokoło, niejednokrotnie dojdiesz do wniosku, że niewiele, a może nic. Często, kiedy się napociłeś, namęczyłeś, a nic się w życiu nie poprawiło, opanowuje cię głębokie wewnętrzne przekonanie, że i ty niewiele jesteś wart.

Ale ta nowa дума, którą lokal panny Amelii rozbudził w miasteczku, wywarła swój wpływ na prawie wszystkich, nawet na dzieci. Bo po to, żeby być tam, nie trzeba było ani zamawiać obiadu, ani nawet szklanki samogonu. Wystarczyło wypić zimną oranżadę po dziesięć centów butelka. A jeżeli ktoś i na to nie mógł sobie pozwolić, to panna Amelia miała też napój zwany sokiem wiśniowym - szklanka za centa - różowego koloru i bardzo słodki. Niemal każdy, z wyjątkiem pastora T. M. Willina, bywał w knajpie przynajmniej raz w tygodniu. Dzieci uwielbiają spać w innym, nie własnym domu i jadać przy stole sąsiadów; przy takiej okazji zachowują się poprawnie i są bardzo godne. Tak samo i ludzie z miasteczka siedząc przy stolikach w knajpie czuli się równie godnie. Szorowali się przed pójściem do

panny Amelii i wchodząc, już na progu, wycierali bardzo starannie nogi. Tutaj, przynajmniej na kilka godzin, cichła w każdym z nich ta głęboka, gorzka świadomość, że jest tak niewiele wart na tym świecie.

Lokal był też specjalnym dobrodziejstwem dla kawalerów, dla tych, którym się nie poszczęściło, i dla suchotników. W tym miejscu należałoby wspomnieć, że istniały powody do podejrzeń, że kuzyn Lymon był też suchotnikiem. Mocny blask jego szarych oczu, jego upór, jego gadatliwość, a także kaszel - wszystko to były typowe objawy. Ponadto powszechnie sądzono, że istnieje pewien związek między garbatymi plecami a suchotami. Ale wystarczyło, aby ktoś o tym wspomniał pannie Amelii, a wpadała w furję; gwałtownie zaprzeczała tym objawom, ale kiedy nikt nie widział, okładała kuzyna Lymona gorącymi kataplazmami, poiła syropem od kaszlu i mnóstwem innych leków. Otóż tej zimny kaszel garbusa pogorszył się bardzo, a czasami nawet w mroźny dzień zdarzało mu się mocno spocić. Ale to nie powstrzymywało go od chodzenia w ślad za Marvinem Macy.

Każdego ranka wyszedłszy z domu kierował się do tylnego wejścia domu pani Hale i tam czekał i czekał, jako że Marvin Macy był śpiochem jak się patrzy. Stał więc i cichutko nawoływał. Jego głos przypominał głosy dzieciaków, co przykucnięte cierpliwie nad dołkiem w ziemi, gdzie ponoć mieszka biedronka, wtykają do środka słomkę i piskliwie nawołują:

- Biedroneczko, leć do nieba, przynieś mi kawałek chleba...

Takim właśnie głosem - smutnym, proszącym i troszeczkę zrezygnowanym zarazem - garbus powtarzał co ranka imię Marvina Macy, potem łąził za nim po mieście, a czasem szli razem na bagna i przepadal tam na długie godziny.

A panna Amelia dalej postępowała, jak mogła najgłupiej, to znaczy, nie trzymała się jednej linii postępowania, tylko kilku równocześnie. Kiedy kuzyn Lymon wychodził z domu, nie przywoływała go z powrotem, tylko stała na środku drogi i tęsknie patrzyła

za nim, póki nie zniknął jej z oczu. Prawie co dzień Marvin Macy zjawiał się wraz z garbusem w porze obiadu i jadł przy jej stole. Panna Amelia otwierała kompoty z gruszek, a na obiad była zawsze albo szynka, albo kurczęta, wielkie salaterki podsmażanych na boczku kartofli i zielonego groszku. To prawda, że raz panna Amelia próbowała otruć Marvina Macy, ale zaszła jakaś pomyłka, zamieniono talerze i jej samej dostało się zatrute danie. Szybko się na tym poznała dzięki temu, że jedzenie było trochę gorzkie, i tego dnia nie jadła obiadu. Siedziała tylko rozparta w krześle i sprawdzała swoje mięśnie patrząc na Marvina Macy.

Marvin Macy przychodził co wieczór do knajpy i zawsze siadał przy największym i najlepszym stole na samym środku sali. Kuzyn Lymon przynosił mu szklankami samogon, za co tamten ani centa nie płacił. W dodatku zamiast okazać za te względy choć trochę wdzięczności, opędzał się od garbusa jak od uprzykrzonego moskita znad bagien, a jeżeli tamten wszedł mu w drogę, odpychał go albo groził:

- Zjeżdżaj, łamago, bo ci do reszty kości poprzetrącam!

W takich momentach panna Amelia w dziwacznej czerwonej sukni, niezgrabnie zwisającej na jej chudej postaci, wychodziła zza lady i zbliżała się do Marvina Macy wolno, z zaciśniętymi pięściami. Marvin Macy także zaciskał pięści i zaczynali obchodzić się nawzajem powoli i znacząco. Ale, choć wszyscy przyglądali się temu z zapartym tchem, za każdym razem spełzało to na niczym. Jeszcze nie nadszedł czas walki.

Zima ta jest pamiętna z jednego specjalnego powodu i do dziś jeszcze o tym mówią, stało się bowiem coś niezwykłego. Drugiego stycznia po przebudzeniu ludzie stwierdzili nagle, że świat wokół nich zmienił się zupełnie. Małe głupie dzieciaki, spojrzawszy przez okna, ze zdumienia wybuchały płaczem. Starzy usiłowali sobie z trudem przypomnieć, kiedy w tych stronach zdarzyło się coś podobnego. W nocy bowiem spadł śnieg. Podczas czarnych godzin po północy

drobniutkie płatki zaczęły cicho padać na miasto. Do rana ziemia pokryła się bielą i dziwny puch narósł na parapecie czerwonych okien kościelnych i obieleł dachy domów. Ośnieżone miasto wyglądało ponuro i pusto. Dwuizbowe domki koło przędzalni, zawsze brudne, popękane i niemal bliskie zawalenia, teraz jakby skurczyły się i pociemniały. Ale sam śnieg miał w sobie takie piękno, jakiego tutejsi ludzie nie widzieli nigdy dotąd. Nie był wcale biały, jak go opisywali przybysze z północy; w śniegu widniały miękkie kolory niebieskie i srebrzyste, niebo zaś było łagodnie, lśniąco popielate. A jeszcze ta senna cisza padającego śniegu. Czy kiedykolwiek miasteczko było tak ciche?

Ludzie zareagowali na śnieg rozmaicie. Panna Amelia, spojrzawszy przez okno, w zamyśleniu przez chwilę poruszała palcami bosych nóg i zaciągnęła mocniej przy szyi kołnierzyk nocnej koszuli. Postąpiła jeszcze trochę, potem wzięła się do zatrzaskiwania okiennic i ryglowania kolejno wszystkich okien domu. Pozamykała całe domostwo dokładnie, pozapalała lampy i zasiadła z powagą nad talerzem smażonych kartofli. Nie znaczy to, że panna Amelia bała się śnieżycy. Po prostu tylko nie umiała sformułować od razu swego zdania na temat tego nowego zjawiska, a dopóki nie wiedziała dokładnie i ostatecznie, co sądzi o jakiejś sprawie (zazwyczaj zresztą wiedziała dobrze), dopóty wołała jej nie dostrzegać. Śniegu nie było w tej okolicy za jej pamięci i nigdy o nim nie myślała ani tak, ani siak. Ale gdyby teraz przyjęła do wiadomości ten fakt, musiałaby jakoś ustosunkować się do niego, a już i tak była ostatnio bardzo skołowana. Wobec tego pętała się po ciemnym, lampami tylko rozjaśnionym domu i udawała, że nic się nie zdarzyło. W przeciwieństwie do niej kuzyn Lymon uganiał wkoło ogromnie podniecony, potem korzystając z tego, że panna Amelia odwróciła się, żeby mu podać śniadanie, wymknął się na dwór.

Marvin Macy zaś dumny był z tego, co się stało. Oznajmił, że widział już śnieg, oglądał go w Atlancie, a sądząc po minie, z jaką tego

dnia chodził po mieście, można by przypuszczać, że każdy płatek śniegu jest jego własnością. Drwił z dzieciaków, co trwożnie wychynawszy z domów nabierały pełne garście śniegu, by skosztować, jak smakuje.

Pastor Willin szybkim krokiem przemierzył drogę z gniewną miną, ponieważ ani rusz nie mógł wpleść tego śniegu w swoje niedzielne kazanie. Ludzie w większości byli pokornie uradowani widokiem cudownego zjawiska, rozmawiali półgłosem, a „dziękuję” i „proszę” powtarzali częściej, niż było potrzeba. Na paru osobników o słabszych charakterach podziałało to oczywiście demoralizująco, więc się upili - ale nie było ich tak wielu. Dla każdego ten dzień stał się wyjątkową okazją, liczone pieniądze i wybierano się wieczorem do knajpy.

Kuzyn Lymon chodził za Marvinem Macy przez cały dzień i równie jak on dumny był ze śniegu. W podziw wprawiało go, że śnieg nie pada tak samo jak deszcz, i wpatrywał się w sennie, spokojnie opadające płatki, aż zakręciło mu się w głowie i o mało nie upadł. A jak się pysznił tym, że część sławy Marvina Macy spada na niego - aż wielu ludzi pokrzykiwało ku niemu: „Konia kują, a żaba nogę nadstawia, co?”

Panna Amelia nie planowała tego dnia wydawać kolacji. Ale kiedy o godzinie szóstej rozległy się na frontowej werandzie jakieś kroki, otworzyła ostrożnie drzwi wejściowe. Okazało się, że to Henry Ford Crimp, i chociaż nie było nic do jedzenia, pozwoliła, żeby usiadł przy stoliku, i podała mu zamówiony samogon. Przyszli inni. Wieczór był niebieski, mroźny i mimo że śnieg już nie padał, wiatr od sosnowego lasu podrywał z ziemi lekkie białe wiry. Kuzyn Lymon przyszedł dopiero po zmierzchu, a za nim Marvin Macy, niosąc swoją walizkę i gitarę.

- Wybierasz się w drogę? - spytała szybko panna Amelia.

Marvin Macy powstał chwilę przy ogniu. Potem zasiadł przy swoim stole i zabrał się do ostrzenia jakiegoś patyczka. Wreszcie

zaczął dłubać w zębach i często wyciągał wykałaczkę z ust, żeby się przyjrzeć jej końcowi, i wycierał ją w rękaw marynarki. Nawet się nie pofatygował odpowiedzieć.

Garbus spojrział na pannę Amelię w głębi za ladą. W jego twarzy nie było nic proszącego, wydawał się zupełnie pewny siebie. Założył ręce z tyłu i z zadowoleniem zastrzygł uszami. Policzki miał czerwone, oczy błyszczące, a odzież przemokniętą do nitki.

- Teraz Marviin Macy będzie trochę naszym gościem - oznajmił.

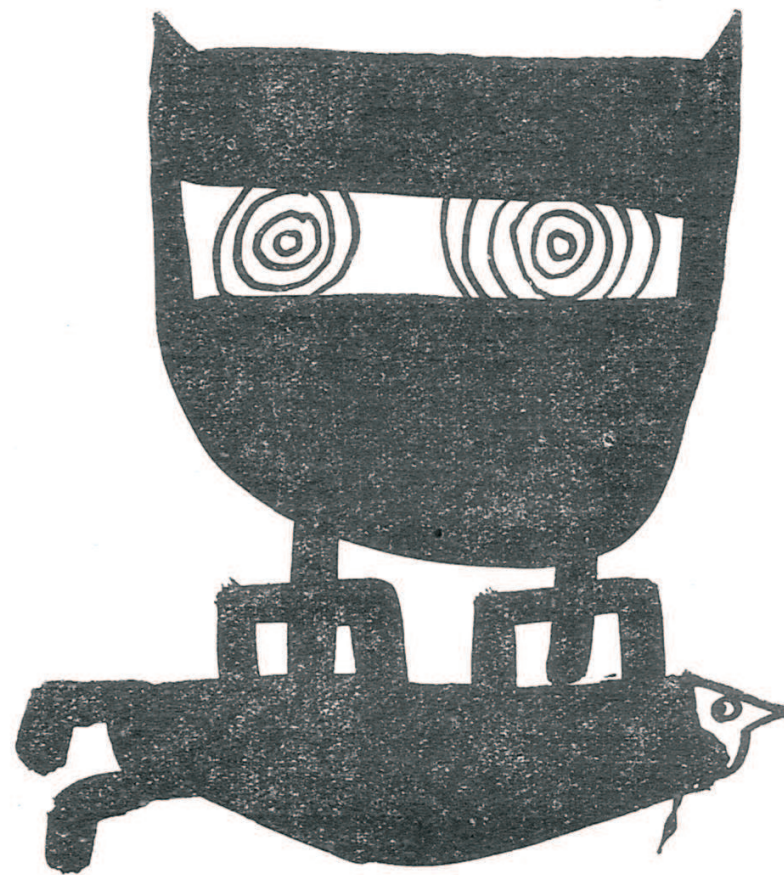
Panna Amelia nie protestowała. Wyszła tylko zza lady i zbliżyła się do pieca, jakby od tej nowiny nagle zrobiło jej się zimno. Grzała się teraz przy ogniu, ale nie tak jak większość kobiet, co skromnie unoszą spódnice tylko na cal, kiedy jest w pobliżu więcej ludzi. W pannie Amelii nie było ani żdźbła kobiecej skromności, często jakby zapominała, że w pokoju w ogóle są mężczyźni. Teraz, kiedy z podniesioną wysoko w górę czerwoną spódnicą stała grzejąc się przy piecu, każdy, kto by spojrział, mógł dostrzec kawał jej mocnego, owłosionego uda. Głowę pochyliła w bok i mówiła coś do siebie potakując i marszcząc czoło, a w głosie jej wyraźnie brzmiał ton wyrzutu i oskarżenia, chociaż trudno było zrozumieć poszczególne słowa. A tymczasem garbus i Marvin Macy poszli na górę, do saloniku zdobnego w trawę z pampasów i dwie Singerowskie maszyny, do tych pokoi, w których panna Amelia żyła od urodzenia. Słysząc ich było wyraźnie, jak tam na górze szurają meblami i układają rzeczy Marvina Macy.

W ten sposób Marvin Macy wpakował się do domu panny Amelii. Kuzyn Lymon, który odstąpił mu swój pokój, spał początkowo na kanapce w saloniku. Ale śnieg nie wyszedł mu na zdrowie: przeziębził się wtedy mocno, a z tego wywiązało się zapalenie gardła, więc panna Amelia oddała mu swoje łóżko. Kanapa w saloniku była dla niej o wiele za krótka, nogi wystawały jej ponad bocznym oparciem i często staczała się na podłogę. Może to ten brak snu

przyćmił jej rozeznanie, bo wszystko, czego próbowała przeciwko Marvinowi Macy, obracało się w końcu przeciwko niej samej: wpadała w kopane przez siebie dołki i coraz częściej znajdowała się w sytuacji oplakanej. Ale mimo to nie wyrzucała Marvina Macy ze swego domu, bo bała się, że mogłaby wtedy zostać sama. Człowiekowi, co mieszkał z kimś przez czas dłuższy, bardzo ciężko jest nagle zacząć żyć samotnie. Ta cisza ciepłego pokoju, w którym nagle zegar przestał tykać, zwidujące się cienie w pustym domu - och, już lepiej trzymać w domu śmiertelnego wroga aniżeli znosić koszmar życia w samotności.

Śnieg nie leżał długo. Słońce przygrzało i nim minęły dwa dni, miasteczko wyglądało znowu tak samo jak zawsze. Panna Amelia otworzyła dom, dopiero kiedy stopniały resztki śniegu. Wtedy zrobiła gruntowne porządki w całym mieszkaniu i wietrzenie wszystkich ubrań i pościeli na słońcu. Ale jeszcze przedtem, jak tylko wyszła pierwszy raz na próg, uwiązała grubą linę na największej gałęzi rosnącego za domem rozłożystego drzewa. Na samym końcu liny umocowała worek jutowy twardo nabity piaskiem. Był to jakby worek bokserki i od tego dnia trenowała na nim co dzień rano. Już i przedtem walczyć umiała dobrze, była może trochę ociężała w nogach, ale za to znała wszystkie podstępne chwytty i sposoby uciskania przeciwnika.

Jak już wspomniano, panna Amelia miała wzrostu sześć stóp i dwa cale, Marvin Macy zaś o cal mniej. Wagą byli sobie mniej więcej równi, oboje dochodzili prawie do stu sześćdziesięciu funtów. Do silnych punktów Marvina Macy należała przebiegłość ruchów i dobrze rozwinięta klatka piersiowa. Sądząc z wyglądu wszystko przemawiało raczej na jego korzyść. A jednak niemal każdy stawiał na pannę Amelię; prawie nikt nie ryzykował pieniędzy na Marvina Macy. Całe miasto pamiętało słynną walkę pomiędzy panną Amelią a adwokatem z Forks Falls, który próbował ją oszwabić. I cóż że chłop był jak dąb - kiedy z nim skończyła, leżał całkiem bez ducha, ot, trzy



ćwierci do śmierci. Ale nie tylko jej bokserskie umiejętności robiły na wszystkich wrażenie, lecz i fakt, że potrafiła każdego przeciwnika wyprowadzić z równowagi, robiąc tak okropne miny i wydając tak dzikie okrzyki, że nawet widzowie czasem mieli stracha. Zresztą znano jej odwagę, ćwiczyła wytrwale na worku bokserskim, no a w tej sprawie racja była wyraźnie po jej stronie. Więc też ludzie liczyli na nią i czekali. Oczywiście termin walki nie był wcale ustalony. Ale wszelkie znaki wskazywały, że się zbliża, i trudno było ich nie dostrzec.

Garbus w tym okresie paradował wszędzie z bardzo zadowoloną chudą twarzą. Przemyślnie, kiedy tylko mógł, podsycał niechęć panującą pomiędzy tamtymi. Raz po raz szarpał Marvinę Macy za nogawkę, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Czasem też chodził krok w krok za panną Amelią - ale teraz robił to tylko po to, by naśladować jej niezgrabny chód, typowy dla tak długonogiej osoby. Patrzył zezem i przedrzeźniał jej ruchy, żeby wydawało się, że to ona jest jakimś cudakiem. Było w tym coś tak okrutnego, że nie śmieli się nawet najgłupszy z bywalców lokalu, tacy jak Merlie Ryan. Tylko Marvin Macy wykrzywił usta i parsknął śmiechem. W tych chwilach panną Amelią szarpały dwa sprzeczne uczucia. Spoglądała na garbusa z beznadziejnym, straszliwym wyrzutem, by potem zwrócić się z zaciśniętymi zębami ku Marvinowi Macy.

- Żebyś zdechł - mówiła gorzko.

Ale Marvin Macy najczęściej brał wtedy tylko gitarę leżącą na ziemi tuż za krzesłem. Głos jego był wilgotny i przytłumiony, bo zawsze miał w ustach za dużo śliny. A tony, które śpiewał, wyslizgiwały się z jego gardła wolno niby węgorze. Mocnymi palcami delikatnie przebierał po strunach i wszystko, co śpiewał, upajało i doprowadzało do rozpacz. Pannie Amelii zazwyczaj było już tego za wiele.

- Żebyś zdechł! - powtarzała krzycząc prawie.

Ale Marvin Macy miał zawsze gotową odpowiedź. Kładł rękę

na strunach, aby uciszyć ostatnie drgające tony, i mówił powoli, z beczelną pewnością siebie:

- Wszystko, co krzyczysz do mnie, zwraca się przeciwko tobie. Tak, tak.

I wtedy panna Amelia stawała bezradnie, bo nikt nie umiałby się wymknąć z takiej pułapki. Nie chciała rzucać przekleństw, jeśli miały zwrócić się przeciwko niej samej. Znowu był górą, nic nie mogła ma to poradzić.

Tak więc sprawy wyglądały przez pewien czas. Co się tam działo w pokojach na górze pomiędzy tą trójką, tego nikt nie wiedział. Ale w knajpie na dole z dnia na dzień robiło się tłoczniej. Trzeba było wnieść jeszcze jeden stolik. Nawet Samotnik, wariat imieniem Rainer Smith, który od lat żył hen, wśród moczarów, posłyszał coś o tej niezwyklej sytuacji i pewnego wieczora przyszedł, zajrzał przez okno i zasępił się widząc takie mnóstwo ludzi w jasno oświetlonym wnętrzu. Ale kulminacyjnym momentem każdego wieczora była chwila, gdy panna Amelia i Marvin Macy, zacisnąwszy pięści, przyjmowali postawę bokserską i z wściekłością wbijali wzrok w siebie nawzajem. Zazwyczaj nie poprzedzała tego jakaś specjalna wymiana zdań, ale zdawało się, że oboje robią to instynktownie, zmuszeni jakby tajemniczym nakazem. Wtedy w całej knajpie zapadała taka cisza, że można było usłyszeć, jak szeleszczą w przeciągu papierowe róże. I co wieczora w tej bojowej postawie trwali trochę dłużej niż poprzedniego dnia.

Walka odbyła się w dniu świstaka, co przypada drugiego lutego. Pogoda była odpowiednia, bo i bez deszczu, i bez słońca, temperatura także pasowała w sam raz. Po wielu znakach można było poznać, że to jest ten wyznaczony dzień, i około dziesiątej rano wieść obiegła już całą okolicę. Wczesnym rankiem panna Amelia wyszła na dwór i odcięła swój worek treningowy. Marvin Macy rozsiadł się na tylnych schodkach z puszką smalcu między kolanami i dokładnie

natłuszczał sobie ramiona i nogi. Jastrząb z krwawiącą piersią przeleciał nad miastem i dwukrotnie zatoczył w powietrzu koło nad domem panny Amelii. Stoliki z knajpy wystawiono na tylną werandę, tak że cały duży pokój opróżniony czekał na walkę. Tak, znaków tych było wiele. Oboje, panna Amelia i Marvin Macy, zjedli po poczwórnej porcji na wpół surowiej pieczeni, a następnie po południu położyli się, aby zebrać siły. Marvin Macy odpoczywał w dużym pokoju na górze, podczas gdy panna Amelia wyciągnęła się na ławce w swoim kantorku. Z jej bladej, nieruchomej twarzy wyczytać można było wyraźnie, jaka to dla niej męka leżeć tak i nic nie robić, ale przecież leżała spokojnie jak trup, z oczami zamkniętymi i dłońmi skrzyżowanymi na piersi.

Kuzyn Lymon miał za sobą ruchliwy dzień, więc też jego drobna twarz była zmęczona i napięta z podniecenia. Z przygotowanym własnoręcznie drugim śniadaniem wybrał się na poszukiwanie świstaka, ale nie minęła godzina, jak zjadłszy swoje zapasy wrócił i oznajmił, że świstak dostrzegł jego cień i że pogoda wnet się popsuje. Potem - kiedy panna Amelia i Marvin Macy wypoczywali, by zebrać siły, jego zaś zostawili samemu sobie - przyszło mu nagle do głowy, że mógłby teraz pomalować frontową werandę. Domu od lat już nie malowano, a po prawdzie to Bóg jeden wie, czy w ogóle kiedykolwiek był malowany. Kuzyn Lymon zabrał się do tego żwawo i wnet wymalował pół podłogi werandy na jaskrawy jasnozielony kolor. Była to brudna robota, więc też wysmarował się przy niej od stóp do głów. Typowe dla niego zresztą, że nie dokończywszy podłogi, zabrał się do ścian; malował tak wysoko, jak mógł dosięgnąć, a potem wdrapał się na skrzynkę i jeszcze domalował o stopę wyżej. Kiedy farba mu się skończyła, prawa strona podłogi była jaskrawozielona, a na dużej części ściany malowanie, równe od dołu, u góry kończyło się zębato. I tak to zostawił.

Coś śmiesznie dziecinne było w jego zadowoleniu z własnego dzieła. W związku z tym warto wspomnieć o pewnej ciekawej sprawie. Otóż nikt w mieście, nawet panna Amelia, nie miał pojęcia ile lat liczył sobie garbus. Niektórzy utrzymywali, że wtedy, kiedy przybył do miasteczka, miał mniej więcej dwanaście lat, był jeszcze dzieckiem; inni przekonywali, że musi być dobrze po czterdziestce. Oczywiście miał niebieskie i nieruchome jak u dziecka, ale pod nimi malowały się liliowe cienie, które przypominały o wieku. Nie można też było odgadnąć lat na podstawie tego garbatego, dziwnego ciała. Nawet jego zęby nie stanowiły dowodu: miał jeszcze wszystkie (dwa złamane przy gryzieniu pekanowego orzecha), ale tak zawsze brudne od słodczy, że nie można było po nich poznać, czy to stare zęby, czy młode. Zapytywany wprost o wiek, garbus odpowiadał, że nie ma zielonego pojęcia - nie orientuje się wcale, ale to wcale, czy chodzi już po tej ziemi od dziesięciu lat, czy od stu! Tak więc jego wiek pozostawał zagadką.

Kuzyn Lymon przerwał malowanie o pół do szóstej po południu. Zrobiło się chłodniej i w powietrzu był posmak wilgoci. Od sosnowych lasów nadleciał wiatr, załomotał oknami, popędził starą gazetę po głównej ulicy, aż wreszcie uczepiła się w gałęziach tarniny. Ludzie z okolicy zaczęli się zjeżdżać w przepełnionych samochodach, z których to tu, to tam wysuwały się łepetyny dzieciaków, w wozach zaprzężonych w stare muły, co zdawały się wykrzywiać zmęczonym, gorzkim uśmiechem i człapały dalej przymykając obolałe oczy. Trzej młodzi chłopcy przybyli z Society City. Wszyscy trzej mieli żółte koszule ze sztucznego jedwabiu i czapki nałożone daszkami do tyłu; z wyglądu podobni niemal do trojaczków, stale bywali na walkach kogutów i wszędzie, gdzie się zbierała większa ilość ludzi.

O szóstej gwizd fabryczny oznajmił koniec dziennej zmiany i wtedy już widzowie byli w komplecie. Oczywiście pomiędzy nowo przybyłymi znalazło się trochę szumowin, jakichś nieznanych

typków i tym podobnych, ale mimo wszystko cała ta gromada zachowywała się spokojnie. Miasto trwało w milczeniu, a twarze ludzi wyglądały dziwnie w przygasającym świetle. Ciemność nadchodziła niepostrzeżenie i przez chwilę na niebie, na bladożółtym tle zarys kościoła odcinał się ciemnym, nagim kształtem, a potem wszystko zmartwiało nagle i mrok przemienił się w ciemność nocy.

Siedem jest liczbą powszechnie lubianą, a szczególnie lubiła ją panna Amelia. Siedem łyków wody na czkawkę, siedem razy okrążyć biegiem sadzawkę na łamanie w karku, siedem dawek cudownego płynu panny Amelii przy odrobaczaniu - zalecane przez nią leczenie prawie zawsze wiązało się z siódmką. Jest to liczba o rozmaitych możliwościach i każdemu, kto kocha tajemnice i czary, pierwsza się na myśl nasuwa. Więc walka miała się odbyć o godzinie siódmej. Wiedzieli o tym wszyscy, bez żadnego zawiadamiania, w ogóle bez słów; było to tak oczywiste i zrozumiałe, jak oczywisty jest deszcz czy zgniły odór moczarów. Toteż przed siódmą wieczorem wszyscy z powagą zgromadzili się wokół domu panny Amelii. Najsprytniejsi dostali się do samej knajpy i tkwili tam gęsto oblepiając ściany. Inni tłoczyli się na frontowej werandzie albo wkoło domu.

Panna Amelia i Marvin Macy nie pokazali się dotychczas. Panna Amelia, przeleżawszy całe popołudnie na ławce w kantorku, poszła na górę. Natomiast kuzyn Lymon pętał się pod nogami bez przerwy, przepychał się przez tłum, trzaskał palcami i mrugał nerwowo. Na minutę przed siódmą wcisnął się jakoś do knajpy i wdrapał na ladę. Było bardzo cicho.

Musieli to mieć jakoś przedtem ułożone, bo punktualnie z wybiciem siódmej panna Amelia ukazała się na szczycie schodów. W tym samym momencie Marvin Macy pojawił się przed frontem domu, a tłum rozstąpił się przed nim w milczeniu. Szli ku sobie bez pośpiechu, już z zaciśniętymi pięściami, a oczy mieli jak lunatycy. Panna Amelia przebrała się z czerwonej sukni z powrotem w stary kombinezon, a nogawki podwinęła do kolan. Była bosa, a przegub

prawej ręki wzmocniła żelazną przepaską. Marvin Macy także podwinął nogawki spodni, powyżej pasa zaś był nagi i mocno natłuszczony; miał na sobie ciężkie buty, które dostał, kiedy go zwolniono z więzienia. Stumpy MacPhail wystąpił z tłumu i obmacał ich kieszenie prawą dłonią, by mieć pewność, że później nie pojawi się nagle jakiś nóż. A potem już zostali sami na pustej, jasno oświetlonej przestrzeni pośrodku.

Chociaż nikt nie dał sygnału, oboje zaczęli równocześnie. Oba ciosy trafiły w brodę, więc głowy panny Amelii i Marvina Macy odskoczyły w tył i aż ich trochę zamroczyło. Przez parę sekund po pierwszym starciu tylko poruszali nogami po gładkiej podłodze, przyjmując różne pozycje i markując ciosy. A potem doskoczyli do siebie nagle, jak żbiki. Słysząc było odgłosy uderzeń, sapanie i dudnienie nóg na podłodze. Ruchy mieli tak szybkie, że trudno było rozpoznać wyraźnie, co się dzieje - ale raz panna Amelia została odrzucona w tył, zatoczyła się i o mało nie upadła, a potem znów Marvin Macy oberwał taki cios w bark, że okręcił się w kółko jak bąk. I tak walka trwała dalej, dzika i gwałtowna, bez żadnych widocznych oznak słabnięcia którejś ze stron.

Podczas tego rodzaju spotkania, kiedy przeciwnicy są tak szybcy i tak silni jak ci oboje, warto czasem przenieść wzrok z wiru walki na widzów, żeby ich trochę poobserwować. Teraz, rozpląszczeni jak tylko mogli najbardziej, oblepiali ściany. W rogu Stumpy MacPhail, pochylony z zaciśniętymi pięściami, z przejęcia wydawał jakieś dziwne odgłosy. Merlie Ryan nieborak rozdziawiał gębę tak szeroko, że mucha wpadła do niej, a on połknął ją, zanim zorientował się, co to takiego. A kuzyn Lymon - na tego najbardziej warto było patrzeć. Garbus wciąż jeszcze stał na kontuarze, więc górował nad wszystkimi w całym lokalu. Ręce wsparł na biodrach, wielką głowę podał ku przodowi i ugiął krótkie nogi, tak że kolana sterczały mu na boki. Z podniecenia aż dostał wysypki na twarzy, a jego blade wargi drżały.

Przez jakieś pół godziny nie było widać niczyjej przewagi. Setki ciosów wymieniono, a wciąż nie ruszano z martwego punktu. Wtem Marvinowi Macy udało się lewą ręką panny Amelii uchwycić i unieruchomić za jej plecami. Usiłowała ją wyrwać, zacisnęła uchwyt w pasie przeciwnika i wtedy zaczęło się naprawdę. W tej okolicy zresztą właśnie zapasy stanowią najbardziej typowy rodzaj walki, bo boks jest dla tamtejszych ludzi zbyt szybki i wymaga za dużo myślenia i uwagi. Teraz, gdy panna Amelia i Marvin Macy zwarli się i trwali tak w miejscu, otaczający ich ludzie oprzytomnieli jakby i zaczęli przysuwać się bliżej. Przez chwilę walczący pozostawali w zwarciu, z każdym mięśniem napiętym w najwyższym wysiłku, a ich kości biodrowe wgniatały się w siebie nawzajem. W przód i w tył, w jedną stronę i w drugą przechylały się tak dwa splecione ciała. Marvin Macy wciąż jeszcze nie był wcale spocony, ale kombinezon panny Amelii przemókł doszczętnie, a pot spływający po jej nogach tworzył na ziemi mokre ślady bosych stóp. Teraz walka musiała się już niedługo rozstrzygnąć i w tym potwornym wysiłku obojga walczących widać było coraz wyraźniej, że panna Amelia jest silniejsza. Marvin Macy, natłuszczony, łatwiej mógł się wyslizgiwać, trudniej go było chwycić, a jednak ona była silniejsza. Stopniowo przeginała go ku tyłowi, cal za cal, coraz bliżej ku ziemi. Strasznie było patrzeć na to, a słychać było tylko ich głośne charczące sapanie. Wreszcie przygniotła go do ziemi; i już siedziała na nim okrakiem i silne, wielkie dłonie zaciskała mu na gardle.

Ale w tym samym momencie, właśnie kiedy walka została już wygrana, rozległ się nagle w knajpie krzyk tak przejmujący, że wszyscy zdrętwieli. A to, co zdarzyło się potem, pozostaje do dziś nie wyjaśnioną tajemnicą. Bo chociaż całe miasteczko mogło poświadczyć, co się stało, byli przecież tacy, co nie wierzyli własnym oczom. Lada, na której stał kuzyn Lymon, była bowiem od walczących na środku sali oddalona co najmniej o dwanaście stóp, a tymczasem w tej samej chwili, gdy panna Amelia zacisnęła palce

na szyi Marvinowi Macy, garbus skoczył ku przodowi i poszybował przez pokój, jakby mu nagle jastrzębie skrzydła wyrosły. Wylądował na szerokich, mocnych plecach panny Amelii i wbił w jej kark palce jak zakrzywione szpony.

Potem już było tylko jedno wielkie zamieszanie. Panna Amelia została pokonana, zanim widzowie zdążyli oprzytomnieć. Dzięki garbusowi walkę wygrał Marvin Macy i kiedy wszystko się skończyło, na ziemi pozostała panna Amelia nieruchoma, z rękami bezwładnie rozrzuconymi. Marvin Macy powstał nad nią chwilę, z twarzą jeszcze trochę zdumioną, ale już z tym swoim dawnym, krzywym uśmiechem na ustach. Tylko garbus gdzieś znikł. Może przeraził się tego, co zrobił, a może był tak zachwycony, że chciał się w samotności nacieszyć zwycięstwem - dość że wymknął się na dwór i schował pod schodami tylnej werandy. Polano wodą pannę Amelię i po jakimś czasie podniosła się z wolna i zawlokła do swego kantorka. Przez otwarte drzwi ludzie mogli dostrzec, jak siedziała przy biurku z głową wtuloną w zagięcie ręki i szlochała zmordowana, prawie bez tchu. W pewnym momencie zacisnęła nagle prawą pięść i raz po raz trzykrotnie rąbnęła w blat biurka, ale potem palce rozsunęły się miękko i dłoń spoczęła otwarta, nieruchoma. Stumpy MacPhail podszedł i zamknął drzwi.

Tłum milczał i stopniowo, po jednym, ludzie zaczęli się wysuwać z knajpy. Pobudzono muły i odwiązano, zapuszczono motory w samochodach, a trzech chłopcy z Society City ruszyli do domu na piechotę. To nie była taka walka, którą się jeszcze w drodze powrotnej długo omawia i komentuje. A u siebie każdy od razu poszedł spać. W miasteczku było ciemno, nie licząc domu panny Amelii, bo tam wszystkie pokoje pozostały oświetlone przez calutką noc.

Marvin Macy i garbus wynieśli się z miasta chyba na jakąś godzinę przed świtem. Ale zanim sobie poszli, oto co zrobili:

Otworzyli serwantkę z pamiątkami panny Amelii i zabrali wszystko, co tam było.

Połamali pianolę.

Na blatach stolików w knajpie wyryli paskudne słowa.

Znaleźli zegarek, w którym po otwarciu koperty ukazywał się widoczek z wodospadem, i zabrali go także.

Zalali syropem całą kuchnię, a potem roztrzaskali o podłogę wszystkie słoiki z kompotami i konfiturami.

Poszli na moczary i zniszczyli kompletnie kocioł, podziurawili nową wielką kadź i zbiornik wody, a w końcu podpalili szopę.

Przygotowali ulubione danie panny Amelii, przysmażane kartofle z kiełbasą, i posypawszy trucizną tak szcudrze, że starczyłoby dla całej okolicy, postawili kusząco na kontuarze.

Poniszczyli wszystko, co tylko zdołało im się przypomnieć, nie weszli tylko do kantorka, gdzie panna Amelia przepędziła tę noc, a potem poszli sobie w świat, razem, we dwójkę.

I tak to panna Amelia została sama w miasteczku. Ludzie pomogliby jej, gdyby wiedzieli jak, bo ludzie w miasteczku, jeżeli trafi się okazja, to raczej pomogą, niż nie pomogą. Niejedna gospodyni ze szczotką w rękę przychodziła zaofiarować pomoc przy doprowadzeniu domu do porządku. Ale panna Amelia podnosiła tylko niewidzące zezowate oczy i przecząco kręciła głową. Trzeciego dnia Stumpy MacPhail przyszedł kupić prymkę zwykłego tytoniu, a panna Amelia oznajmiła, że kosztuje to jednego dolara. W ogóle wszystko skoczyło nagle w cenie do jednego dolara. A cóż to za rodzaj lokalu? Poza tym zmieniła się bardzo jako lekarz. Od lat była zawsze o wiele bardziej ceniona niż doktor z Cheehaw. Nigdy nie igrała z duszą swego pacjenta broniąc mu czegoś tak podstawowego jak alkohol, tytoń czy tego rodzaju rzeczy. Czasami, bywało, ostrzegała pacjenta przezornie, żeby nigdy nie jadł smażonego arbuza albo czegoś podobnego, czego i tak nikt by nie zamierzał jeść. A teraz skończyło się całe to mądre leczenie. Połowie pacjentów zapowiedziała, że wnet umrą, a pozostałym zalecała kuracje tak wyszukane i męczące, że nikt

przy zdrowych zmysłach nie dałby się na nie nabrać.

Panna Amelia przestała się czesać, włosy jej skołtuniły się i zaczęły siwieć. Twarz się wydłużyła, a mięśnie całego ciała zanikły stopniowo tak, że wyglądała wreszcie jak chuda stara parana, kiedy zaczyna bzikować. A jej szare oczy powoli, dzień po dniu stawały się bardziej zezowate, jakby jedno szukało drugiego, by z nim wymienić spojrzenie pełne żalu i współczucia. Nie było też przyjemnie słuchać, gdy mówiła, bowiem cięta zrobiła się okropnie.

Ilekoć kto wspomniał garbusa, mawiała tylko:

- No, gdybym go dostała w swoje ręce, wyszarpałabym z niego flaki, żeby kotom rzucić na pożarcie!

Ale nie tyle jej słowa były przerażające, co raczej głos, którym je wymawiała. Stracił on cały swój wigor, nie dźwięczała w nim już nuta zemsty, jaka brzmiała ongiś w każdej wzmiance o tym „naprawiaczu krosien, za którego się wydała”, czy o jakimś innym wrogu. Ten głos był martwy - tak miękki i smutny jak astmatyczne pojękiwanie organów.

Przez trzy lata przesiadywała co wieczora na schodkach frontowej werandy, samotna i milcząca, i czekała zapatrzona na drogę. Ale garbus nie wrócił. Chodziły słuchy, że Marvin Macy trzyma go po to, by włąził przez okna i okradał mieszkania, to znów, że sprzedał go do cyrku. Ale okazało się potem, że obie plotki puścił Merlie Ryan. Żadna prawdziwa wiadomość o garbusie nigdy do miasteczka nie doszła. Gdzieś w czwartym roku panna Amelia zgodziła stolarza z Cheehaw, żeby zabił okna w całym domu, i tam, w tych zamkniętych pokojach, pozostaje od tego czasu.

Tak, miasteczko jest ponure. W sierpniowe popołudnia główna ulica jest pusta, biała od kurzu, a niebo w górze lśni jak ze szkła. Nic się nie porusza, nie słychać dziecięcych głosów, tylko szum przedzalni. Drzewka brzoskwiniowe z roku na rok zdają się bardziej koślawe, ich listki, słabe i drobne, szarzeją i matowieją. Dom panny

Amelii przechylił się tak bardzo w prawo, że to już tylko kwestia czasu, kiedy zawali się zupełnie, więc ludzie na wszelki wypadek nie przechodzą tuż obok. Dobrego trunku nie można kupić w całym miasteczku: najbliższy posiadacz kotła mieszka o osiem mil, a ten jego samogon jest taki, że po wypiciu wyrastają człowiekowi na wątrobie brodawki wielkości agrestu i zwiduje mu się wokół jakiś niebezpieczeństw pełen świat. Nie ma tu w mieście absolutnie co ze sobą robić. Możesz najwyżej obejść wkoło sadzawkę, przystanąwszy kopnąć zmurszały pień drzewa, pomedytować, na co by się mogło przydać stare koło z pionierskiego wozu, tam przy drodze blisko kościoła. Dusza kiśnie z nudy. Chyba żeby wybrać się na szosę do Forks Falls i posłuchać, jak więźniowie śpiewają:

DWUNASTU ZWYKŁYCH LUDZI

Szosa do Forks Falls przebiega o trzy mile od miasteczka i tam od pewnego czasu pracuje brygada skutych więźniów. Szosa jest tłuczniowa, więc w okręgu zdecydowano, że wyboje trzeba naprawić, a w jednym niebezpiecznym miejscu także szosę poszerzyć. Brygada to dwunastu ludzi, wszyscy w więziennych biało-czarnych pasiakach, z nogami skutymi w kostce. Jest z nimi strażnik z karabinem; od blasku słońca oczy jego przypominają czerwone szparki. Brygada pracuje cały dzień, od wschodu słońca, kiedy ich przywożą karetką więzienną, aż do chwili, gdy ich znowu odwożą o szarym sierpniowym zmierzchu. Przez cały dzień rozlega się walenie kilofów w twardą glinę, przez cały dzień mocno praży słońce i śmierdzi pot. I co dnia rozlega się śpiew. Jeden posępny głos zaczyna zazwyczaj frazę półśpiewnie, niby zapytanie. Po chwili drugi głos przyłącza się do tamtego, a potem już wszyscy śpiewają razem. W słonecznym blasku głosy te są mroczne, melodia zaś misternie splata w sobie smutek i radość. Pieśń nabrzmiewa coraz bardziej, aż wreszcie wydaje się, że te dźwięki nie płyną z ust dwunastu ludzi tworzących

brygadę, ale z ziemi samej, a może z szerokiego przestworu nieba. Jest to melodia, która rozpiera serce, a słuchacza przechodzi dreszcz ekstazy i lęku. A potem pieśń z wolna przycicha, aż wreszcie słyhać znowu jeden samotny głos, a w końcu pozostaje już tylko słońce, zdyszane oddechy i walenie kilofów w ciszy.

Ale kim są ci, co potrafią tak śpiewać? To tylko dwunastu zwykłych ludzi, siedmiu czarnych i pięciu białych chłopców z tych stron. Dwunastu zwykłych ludzi, którzy są razem.